



STEVEN ERIKSON

RODOWE RUJNY

Niezależna opowieść ze świata
Malazańskiej księgi poległych

Steven Erikson

Zdrowe zwłoki

The Healthy Dead

Opowieść o Bauchelainie i Korbalu Broachu - tom 2

Przełożył: Michał Jakuszewski

Wydanie oryginalne: 2004

Wydanie polskie: 2005

Wstęp

Fantasy – jak można ją zdefiniować? Trzeba przyznać, że powstaje jej bardzo wiele, całe tony pretensjonalnych opowieści zrodzonych w rozgorączkowanej wyobraźni grupy bezkrytycznych entuzjastów. Niektórym mogłoby się wydawać, że książki z tego gatunku łatwo jest pisać. Oto naiwny młodzieniec o nieznanym pochodzeniu, którego dzieciństwo jest pełne tradycyjnych omenów i niesamowitych zbiegów okoliczności. W pewnej chwili nasz bohater odkrywa w sobie pragnienie wędrówki, poznania szerokiego świata, który stworzył dla niego autor. Dodajmy pomagiera, magiczny miecz, przyda się też smok albo i dwa. Czy może być coś prostszego?

Jak już wspomniałem, pisze się tego mnóstwo i nie brak osób, które uważają, że przed zasadami gatunku nie ma ucieczki. Jednakże ten gość, którego utwór za chwilę przeczytacie, ten Erikson, przez mur owych zasad przebija się pociągami towarowym. Czytelnik może potem tylko otrzeć pył z oczu i zadać sobie pytanie, co, u licha, tędy przejechało.

Oczywiście spotkacie tu czarodziejów. I wojowników, całe tysiące wojowników. Skrytobójców, szlachetnie urodzonych, żebraków, ekscentryków, bogów i demony. Mieliśmy już z nimi wszystkimi do czynienia, ale nikt dotąd nie opisywał ich w taki sposób. Świat Imperium Malazańskiego jest nieprawdopodobnie skomplikowany, podobnie jak jego mieszkańcy. Moje słowa mogą zabrzmieć banalnie, ale naprawdę są to realistyczne postacie o urozmaiconych motywach i duszach udręczonych trudnościami życia codziennego. To mi się podoba. Zawsze mi się

podobało. Uczynić fantazy tak realną, jak to tylko możliwe, to świadectwo prawdziwego mistrzostwa.

Przytoczę tylko garść z całego morza możliwych przykładów. Na początek – magia Eriksona. To najbardziej skomplikowany, wiarygodny (jeśli to odpowiednie słowo) i instynktownie zrozumiały system magii, jaki kiedykolwiek spotkałem w książkach fantazy. Robi na czytelniku wrażenie realnego. A także straszliwie niebezpiecznego.

Żołnierze Eriksona również są autentyczni. Mówią tak, jak powinni mówić żołnierze. Nie są bohaterami, ale zawodowcami wykonującymi swoją pracę. Z powodu swego zajęcia czują się starzy i znużeni, a ich serca zżera zgnilizna.

Jego prymitywne ludy – w tym punkcie muszę przyznać się do gwałtownej zawiści, jaką budzi we mnie wiedza Eriksona i to, jak potrafi ją wykorzystać – są autentyczne we wszystkich szczegółach, włącznie z brudem pod paznokciami. Erikson wie, jak funkcjonują prymitywne cywilizacje, wie też, co się czuje, rozpalając ogień na pustkowiu, wsłuchując się w nocne dźwięki i patrząc na lśniące na niebie gwiazdy. Podobnej wiedzy nie można sobie wymyślić, musi ona stanowić integralną część psychiki pisarza.

Niniejsza opowieść ma lżejszy ton niż większość materiału dotyczącego Imperium Malazańskiego, jego powstania i upadku. Niemniej jednak jej pomysłowość i polot robią równie wielkie wrażenie. Tę historię chciałoby się czytać na głos grupie przyjaciół o podobnych upodobaniach, w pubie rozświetlonym blaskiem kominka i najlepiej wypełnionym kłębami fajkowego dymu. Z pewnością znalazłoby się tam również kilku kandydatów na Zdrowych Rycerzy, przyglądających się temu z dezaprobatą. Bogactwo przedstawionych w niej pomysłów przyprawia o zawrót głowy, ale wchodzi one na scenę tak skromnym i ujmującym krokiem, że łatwo jest przeoczyć ich niezwykłość oraz oryginalność. Czytając Eriksona, człowiek odnosi w pierwszej chwili wrażenie, że autor spłoszył ją dla samej zabawy, że jakiś pomysł, wizja albo postać odwróciły jego uwagę od zasadniczego wątku opowieści. Potem jednak

widzimy przed sobą całe stado zajęcy, a pod koniec autor chwyta wszystkie z powrotem do worka i okazuje się, że od samego początku wiedział dokąd zmierza. W jego wykonaniu wydaje się to łatwe, ale, wierzcie mi, takie wrażenie jest złudne.

Żeby wyrazić to inaczej, bardziej osobiście: jako pisarz, podczas lektury Eriksona raz po raz zgrzytałem zębami i uderzałem się w czoło, jęcząc: „Cholera! Że też na to nie wpadłem!”. Wszyscy, którzy wykonują to zajęcie, są okropnymi egocentrykami, trudno więc o większą pochwałę od któregokolwiek z nas.

Paul Kearney

Luty 2004

Ostrzeżenie dla terrorystów
od zdrowego stylu życia na całym świecie:
Nie czytajcie tego, bo straciecie wzrok

Tych, którzy umierają zdrowo, wypycha się i wystawia

na widok publiczny w szklanych skrzyniach

jako przykłady właściwego życia.

Imid Factallo, brygadzysta kierujący grupą robotników kładących nowy bruk pod Murem, stracił przytomność po uderzeniu przez wóz i w ten sposób został świętym. Gdy otworzył oczy, zobaczył, że robotnicy o umorusanych ziemią obliczach gapią się na niego, zdziwieni. Ich prostackie gęby rysowały się na tle nieba, które zaiste mogłoby być przepyszną rezydencją Pani Błogosławieństw, Bogini Zdrowia. Imid Factallo czuł się tak, jakby za chwilę miał osunąć się w jej szczupłe ramiona. Gdybyż tylko można było spaść ku górze, oderwać się od twardej, ciężkiej ziemi i umknąć z dziką radością w bezkresny błękit.

Chwalebne wniebowstąpienie jednak nie nastąpiło. Wracali już wysłani do Wielkiej Świątyni gońcy. Tym razem przywiedli ze sobą godnych, odzianych w różowe koszule i pantalony. Rękawy i nogawice tych strojów przewiązano w zgięciach kończyn i wypełniono wyściółką, by gapie odnosili wrażenie, że widzą świadczącą o zdrowiu i wigorze muskulaturę. Twarze godnych były zapadnięte i pokryte różem. Towarzyszyło im trzech Zdrowych Rycerzy, obleczonych w białe płaszcze oraz polerowane, zdobione srebrem zbroje, stanowiące symbol ich wysokiej rangi. Imid zauważył, że na ich czele kroczy nie kto inny jak sam Invett Wstręt, Najczystszy z Paladynów. Wstręt nie potrzebował różu, by przydać koloru swej twarzy o kwadratowej żuchwie i wielkim nosie. Krew w naczyniach pod lekko pryszczatą skórą płynęła tak obficie, że jego lico miało odcień

bez mała fiołkowy. Jak każdy obywatel, Imid wiedział, że widząc rycerza Invetta Wstręta po raz pierwszy, można by z łatwością uwierzyć w najgorsze, a mianowicie w to, że paladyn stanowczo za bardzo lubi piwo, wino i inne zabronione występki niechlujnego życia. Tak jednak nie było. Gdyby Invett Wstręt był upadłą duszą, z pewnością nie mógłby zdobyć pierwszej pozycji wśród rycerzy. W gruncie rzeczy, w całym życiu Invetta przez jego usta nigdy nie przeszło nic niewłaściwego. Przynajmniej nie do środka.

– Hej, ty – zagrział paladyn, spoglądając na leżącego. Jego hełm lśnił oślepiająco w blasku słońca. – Czy jesteś niegodną pijawką ze słonych bagien znaną jako Imid Factallo? Czy masz rozbitą czaszkę? Czy nie tylko ogłuchłeś, lecz również oniemiałeś? Z pewnością ucieszy cię wiadomość, że bogini honoruje zarówno kalekich na ciele, jak i na umyśle. Znaczy to, że spotkało cię podwójne, a być może nawet potrójne błogosławieństwo. Czyż to nie nadzwyczajne wyróżnienie? Widzę, że poruszasz oczyma, co sugeruje, że wzrok cię nie opuścił. A więc podwójne, tak jak sądziłem na początku. No cóż, Imidzie Factallo, były brygadzista z Trzeciego Fragmentu Muru, dowiedz się, że dzięki pamiętnemu wypadkowi, po którym krew tak paskudnie zbrukała twój twarz i bruk, na którym leżysz, spotkał cię niezwykle zaszczyt. Mianuję cię Świętym Pani.

Imid Factallo spojrział na rycerza, a potem zacisnął mocno powieki i jęknął. Z całego serca żałował, że ten cholerny wóz go nie zabił.

* * *

– Kupiec mówił, że to miasto Dziwo – oznajmił Emancipor Reese, wpatrując się w odległe, wysokie mury. Mniej więcej w dwóch trzecich ich wysokości powiewały jakieś dziwne chorągwie. Rozklekotany wóz, którym jechali obaj mężczyźni, kołysał się jak szalony na skalistej dróżce.

– Hmm – mruknął siedzący obok Bauchelain. – Nie widzę stąd nic, co potwierdzałoby tę obserwację.

– Nie, panie, ono nazywa się Dziwo. To ostatnie i najbardziej

izolowane z państw-miast tego półwyspu. Biorąc pod uwagę, że od sześciu dni nie widzieliśmy nawet najmniejszego przysiółka, jestem skłonny zgodzić się z kupcem. Faktycznie jest izolowane.

– Być może – przyznał czarodziej, pociągając za spiczastą brodę. – Niemniej jednak, z tej odległości dostrzegam tylko jedną rzecz, którą można by uznać za dziwną. Mam na myśli ten równy szereg trupów przybitych do murów od strony lądu.

Emancipor wytężył wzrok jeszcze bardziej. A więc to nie chorągwie zwisały tak bezwładnie.

– Uważasz, że to dziwne, panie?

– W rzeczy samej, panie Reese. Nie sądzisz, że Korbal Broach będzie zachwycony?

Lokaj oparł się o tylną deskę kozła, żeby uwolnić się od kurczy w krzyżu.

– Śmiem twierdzić, panie – odezwał się – że miejskie władze z pewnością nie pochwalą kradzieży ich... hmm... dekoracji.

– Zapewne masz rację – wyszeptał Bauchelain, marszcząc – w zamyśleniu wysokie czoło. – Być może jeszcze bardziej niepokojąca jest myśl, że wieści o naszych dokonaniach w poprzednim mieście mogły tu dotrzeć przed nami.

Emancipor Reese zadrzał, ściskając mocniej lejce w sękatych dłoniach.

– Mam szczerą nadzieję, że tak się nie stało, panie.

– Być może tym razem nie powinniśmy podejmować ryzyka. Co ty na to, panie Reese? Omińmy to miasto. Znajdźmy jakąś położoną dalej wioskę, nabądźmy w niej solidną łódź i przepłynijmy zatokę.

– Znakomity pomysł, panie.

Podczas ich rozmowy na drodze nie było nikogo. Obłoki kurzu wzbite przez kupca, który oddalił się w przeciwną stronę, opadały już na wierzchołki drzew wystające nad zasłaniającą widok skalną wyniosłość. Wtem jednak decyzji Bauchelaina rzucił wyzwanie odgłos zbliżających się ku nim kroków. Po chwili pojawiło się dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, dźwigających małą, ale z całą pewnością ciężką skrzynkę.

* * *

W tym świecie, którym władają cnoty, trzeci i najczęściej przeklinany z demonów, Występek, zaznał nagle samotności, rozpaczy i smutku. Zważywszy wszystko razem, to nie było w porządku. Ineb Kaszel świetnie znał dwa z trzech uprzednio wymienionych stanów – rozpacz i smutek – ale to on zawsze przynosił je innym. A teraz cierpiał tak samo, jak ci, którzy wpadli w jego sidła. To niesprawiedliwe. No cóż, może to i nie było najszczęśliwiej dobrane słowo, niemniej jednak pasowało.

Niestety, nie dało się tego powiedzieć o fircykowatym stroju tancerza, który miał obecnie na sobie. Nie ulegało wątpliwości, że był on własnością jakiegoś znacznie wyższego i szerszego w barach osobnika. Gdy Ineb grzebał w odpadkach w zaułku za Pałacem Ziemskich Rozkoszy, szukając... nie wiedział czego, czegokolwiek, przemknęła mu przez głowę myśl, iż jest smutną prawdą, że ciało musi z czasem ulec starczemu zniedołężnieniu. Talent i zręczność przegrywały w starciu z obolałymi mięśniami i kruchymi kośćmi. Na świecie nie było miejsca dla starych artystów i nic nie mogło uczynić tego brutalnego faktu bardziej oczywistym niż odkryte przez demona ciało martwego tancerza. Trup wpatrywał się niewidzącymi oczyma w niebo, a na jego pomarszczonej twarzy malował się wyraz lekkiego zaskoczenia, być może nawet oburzenia wywołanego nagłą świadomością, że stał się tak stary i sztywny, że nie jest już w stanie wykonać tego ostatniego ruchu. Że głośny trzask, który najpewniej towarzyszył owemu śmiertelnemu obrotowi, wróży bardzo źle.

Demon wątpił, by ktokolwiek go słyszał. To był kolejny przykry fakt dotyczący starych artystów. Nikt nie chciał na nich patrzeć, nikomu na

nich nie zależało. Obrót, płas, trzask i upadek na brudny bruk. Trup leżał tam nie niepokojony przez nikogo poza maleńkimi stworzonkami, które bytowały w żywym ciele, a teraz wychodziły na zewnątrz, by się nim nasycić.

Występek zawsze był azylem artystów. Gdy nie mieli już nic innego, zostawało im jeszcze pijaństwo. Podejrzane cielesne żądze. Przesadne dogadzanie sobie za pomocą przepełnionych talerzy. Niezliczone tysiące rozkosznych, niosących śmierć substancji, spośród których mogli swobodnie wybierać. W dawnych dobrych czasach.

Obecnie jednak w Dziwie sprawiedliwe i absolutne rządy sprawowały cnoty. A ludzie tańczyli na ulicach. No, niektórzy z nich przynajmniej próbowali tańczyć, choć kończyło się to dla nich śmiercią. Zapewne był to przedśmiertny gest. Ostatnio oglądało się ich bardzo wiele. Życ czysto, życ z niepohamowanym wigorem. Umrzeć powoli. Umrzeć nagle. Niestety, zawsze trzeba było umrzeć. Demon również mógłby pragnąć śmierci, lecz nie była ona w jego przypadku możliwa. Trwał na sposób skrywanych pożądań i dzięki temu był świadkiem tego, jak niezmienna rzeczywistość prędzej czy później dopada nieszczęsnych śmiertelników. Cały czas pierzchali przed niechybnym przebudzeniem owych maleńkich pożeraczy ciała, ale w końcu... czekał ich koniec i tylko koniec. Biedne skurczybyki.

Jak wiele przyjemności rzeczywiście można uznać za nieskazitelne? – zastanawiał się przygnębiony Ineb. Jak wielu śmiertelnikom udawało się ominąć pułapki, które stawiał na ich drodze świat fizyczny? To był inny rodzaj tańca, który wymagał łopoczających rozpaczliwie skrzydeł u stóp. Ten styl wyglądał wyjątkowo nieatrakcyjnie. Szarpany, afektowany, pełen obronnych gestów i skrajnie spazmatyczny. Jego widok zawsze przygnębiał demona. W końcu, czy istniało coś, co nie zabija?

Wtem jego grzebiące w odpadkach za Pałacem Ziemskich Rozkoszy dłonie znalazły jakiś przedmiot i zacisnęły się na nim. Ujrzał wielką butlę z wypalanej gliny. Miała poobtłukiwane dno i utraconą szyjkę, ale poza tym była... doskonała. Demon przysunął ją bliżej oczu. Tak jest, kiedyś zawierała alkohol.

Ineb nie był w stanie powstrzymać uśmiechu, który wykwitł na jego brudnej, pryszczatej gębie. Uniósł flaszkę do nosa i wciągnął głęboko w płuca stęchły aromat. Zapewne leżała tu od wielu lat, od czasów, gdy Pałac był przybytkiem zupełnie innego rodzaju i oferowano w nim coś zgoła odmiennego niż zielone liście.

Obwisłe wargi demona popieściły zimne szkliwo, poskubały gładką pieczęć wytwórcy. Czerwony koniuszek języka przesunął się po ostrej krawędzi szyjki. Ineb powąchał ją, prychnął, pogłaskał palcami, po czym przykucnął w śmieciach. Oprócz maleńkich pożeraczy ciała istniały też inne niewidzialne stworzonka, które przechowywały wspomnienie o smaku i zapachu. Upłynie pół nocy, nim Ineb wycisnie z flaszki ostatnią kapkę.

* * *

– Czy myślałeś kiedyś o tym, co się stało z Pożądliwością?

Nauseo Niechluj przymrużył powieki maleńkich oczek ukrytych wśród obwisłych fałd tłuszczu, ale jedyną odpowiedzią, jakiej udzielił, była głośna erupcja cuchnącego gazu, która rozległa się gdzieś w dole. Wyciągnął brudną, powalaną tłuszczem łapę, wziął ze sterty gnijących jarzyn tłustego pędraka i położył go sobie ostrożnie na wysuniętym języku. Rozległ się trzask, a potem Niechluj oblizał wargi.

– Można by sądzić – ciągnęła Senker Później – że z nas wszystkich to ona okaże się najbardziej... nieustępliwa.

– Być może właśnie dlatego nigdy jej nie widzimy – wycharczał Nauseo. Zatoczył ręką krąg wokół siebie. – Ten zaułek symbolizuje ciężkie czasy, jakie dla nas nastąpiły. Pełno w nim niedożywionych szczurów, chrupiących czerwi oraz niepewnych wspomnień dawnej chwały. Nie wspominając już o naszym żalonym bracie, Inebie Kaszlu.

– To twoje wspomnienia, nie moje – sprzeciwiła się Senker Później, marszcząc zadarty nosek. – Twoja chwała wyrażała się w przesycie i zawsze była zbyt intensywna, jak na mój gust. Nie, ten zaułek i jego

spokojne tempo bardzo mi odpowiadają. – Wyprostowała gołe, niezbyt czyste nogi i usadowiła się wygodniej w śmieciach. – Nie widzę powodów, żeby go opuszczać, a tym bardziej się skarżyć.

– Podziwiam twoją konsekwencję – stwierdził Nauseo – i pewność siebie, z jaką obserwujesz, jak niknę z każdą nocą. Spójrz tylko na mnie. Zostały ze mnie wyłącznie fałdy skóry. Nawet mój zapach przerodził się z odoru stęchlizny w woń ziemi, jakbym był tylko pniakiem butwiejącym na jakiejś słonecznej polanie. Wybacz mi pozorną niedelikatność, ale ty też jesteś teraz znacznie słabsza niż dawniej, moja droga. Kto ostatnio uległ twoim urokom?

– Nikt. Przyznaję jednak, że nie potrafię się tym zbytnio przejmować.

– Będziesz tu zbijała bąki, aż wreszcie spotka cię zagłada, Senker Później.

– Pewnie masz rację – przyznała z westchnieniem. – Trzeba coś zrobić.

– Na przykład?

– Och, później się nad tym zastanowię. Zobacz, jaki piękny, tłusty pędrak! Tam!

– Widzę go. Niestety, jest za daleko.

Senker Później uśmiechnęła się do niego słodko.

– Dziękuję. To było miłe.

* * *

Skrzynię wypełniały monety, złote jak zachód słońca i srebrne, jakby wyblakłe pod wpływem moczu. Dla zblazowanego spojrzenia Emancipora Reese'a ich blask stanowił lśnienie trucizny. Bogactwa nigdy nie przynosiły nic dobrego. Absolutnie nigdy.

– Jesteśmy Świętymi Chwalebного Trudu – oznajmił mężczyzna

nazwiskiem Imid Factallo.

– To brzmi jak zaszczytny tytuł – zauważył Bauchelain, który zatrzymał się między dwojgiem obywateli Dziwa, splótłszy ręce za plecami.

Emancipor rozpalił nieopodal małe ognisko i grzał teraz nad nim wino, by przegnać narastający chłód. Proste, prozaiczne prace często chodziły w parze z monstrualnym, makabrycznym złem. Emancipor żywił przekonanie, że tak było zawsze. Zwłaszcza gdy w pobliżu znajdowali się jego panowie. Czuł, że nadciąga coś naprawdę niegodziwego.

– Mówisz „zaszczytny” – mruknął Imid, który wyglądał, jakby przed chwilą połknął garść popiołu. – Tak ci się zdaje?

– Tak mi się zdaje – potwierdził Bauchelain, unosząc brwi. – Właśnie przed chwilą to powiedziałem.

– Mówię ci, że to jedno pasmo nieszczęść – zapewnił Imid. Jego lewy policzek skurczył się w nagłym tiku. – Wyrzucili mnie z roboty i teraz spędzam całe dni na modlitwie razem z tysiącem innych świętych. Świętych! Jedyne, co nas ze sobą łączy, to głupia nieudolność, paskudny pech albo jedno połączone z drugim.

– Traktujesz się zbyt surowo, mój panie – sprzeciwił się Bauchelain. – Żeby zasłużyć na tak szlachetnie brzmiący tytuł...

– Trzeba otrzeć się o śmierć podczas pracy – przerwała mu ochrypłym głosem kobieta. – Pomyłki, wypadki, ślepy traf, oto co czyni ludzi świętymi w Dziwie!

Bauchelain zmarszczył brwi, poirytowany tym, że mu przerwała. Potem mars na jego czole pogłębił się jeszcze. Nekromanta owinął się szczelniej w długi, obsyty jedwabiem płaszcz.

– Czy dobrze zrozumiałem? Uznanie za świętego jest efektem obrażeń odniesionych w służbie publicznej?

– W rzeczy samej – potwierdził Imid Factallo. – Pozwól, że wyjaśnię ci sytuację w Dziwie. Wszystko zaczęło się od nagłej śmierci poprzedniego króla, Necrotusa Nihilistycznego. To był typowy władca. Małostkowy, okrutny i skorumpowany. Bardzo nam odpowiadał. Ale gdy umarł, na tron wstąpił jego mało znany brat. I wtedy wszystko się zaczęło sypać.

– Król Macrothus Przemownie Troskliwy – uściśliła kobieta. – W tym tytule nie ma śladu miłości.

– A jak ty się nazywasz?

– Święta Elas Sil. Inna pracownica przewróciła się na mnie z drutem do dziergania w rękę. Idiotka ukłuła mnie w szyję. Zakrwawiłam całą wełnę, a potem okazało się, że takiego długu nie umarza się nawet świętym. Tylko jak mam go spłacić? Nie pozwalają mi pracować!

– A więc to nowe prawo wprowadzone przez waszego króla.

Emancipor zamieszał w garnku z winem. Zakręciło mu się w głowie od jego zapachu. Ogarnął go przyjemny, marzycielski nastrój. Przykucnął i nabił sobie fajkę mieszanką rdzawego liścia z durhaniem. Przyciągnęło to uwagę dwojga świętych. Lokaj zauważył, że Elas oblizwała wargi.

– To Wola Zdrowia – wyjaśnił Imid Factallo, wskazując głową na Bauchelaina. – Macrothus uczynił z kultu Pani Błogosławieństw oficjalną religię miasta. Obecnie jest jedynym legalnym wyznaniem w Dziwie.

Emancipor przymrużył powieki, spoglądając kobiecie w oczy. Przemknęło mu przez głowę, że gdyby urodziła się gdzie indziej, można by ją uznać za atrakcyjną. Blizny na szyi świętej Elas Sil mogły być, bądź nie, skutkiem wypadku. Sługa uniósł do fajki rozżarzony węgielek. Przypominał sobie jak przez mgłę jakąś staruchę ze Smętnej Laluni, która miała podobne wyobrażenia na temat zdrowego życia. Być może ten trend się rozpowszechniał, na podobieństwo jakiejś przerażającej zarazy.

– Nowo wprowadzone zakazy wypełniają całe woluminy – ciągnął Imid Factallo. – Lista Tego Co Zabija wydłuża się z każdym dniem, a

uzdrowiciele gorączkowo poszukują wciąż nowych pozycji.

– A wszystko, co zabija, jest zabronione – dodała Elas Sil. – Król pragnie, żeby jego lud był zdrowy, a ponieważ większość ludzi nie chce pomagać samym sobie, Macrotus robi to za nich.

– Ten, kto pragnie zaznać po śmierci Błogosławieństw Pani, musi umrzeć zdrowy – wyjaśnił Imid.

– Tym, którzy umierają niezdrowi, odmawia się pogrzebu – uszczegółowiła Elas. – Ich ciała wieszają się na miejskich murach głowami w dół.

– W czym możemy wam pomóc? – zapytał Bauchelain. – Z pewnością nie pozbawimy was tytułu świętych. Widzicie też, że jesteśmy zwykłymi podróżnikami i nie towarzyszy nam armia.

Ale idzie za nami armia, która nas ściga. Tę myśl Emancipor zachował jednak dla siebie.

Imid Factallo i Elas Sil wymienili spojrzenia. Mężczyzna pochylił głowę i przygarbił się lekko.

– To nie jest kupiecka pora, ale wieści i tak się rozchodzą. Przenoszą je rybacy i tak dalej. – Popukał się w paskudny nos. – Wysłałem na trakt przyjaciela, który ma świetny wzrok. Stał na szczycie Wzgórza Hurby, mógł więc nas zawiadomić na czas.

– To o was opowiadano – oznajmiła cicho Elas Sil. Nadal gapiła się na mieszającego wino Emancipora, choć na krótką chwilę przeniosła spojrzenie na Bauchelaina. – Tu jest was dwóch, ale w sumie trzech. Połowę miasta, które odwiedziliście ostatnio, strawił pożar.

– Zapewniam, że to było zwykłe nieporozumienie – wyszeptał Bauchelain.

Imid Factallo prychnął z niesmakiem.

– Opowieści mówią co innego...

Bauchelain odchrząknął, uciszając świętego złowrogim spojrzeniem.

– Należy więc przyjąć założenie, że skoro wy przewidzieliście nasze zbawienne przybycie, udało się to również waszemu królowi. W związku z tym nie wydaje się prawdopodobne, by ucieszył się na nasz widok.

– Macrotusa nieszczególnie obchodzi opowieści z sąsiednich miast. W końcu wszystkie są jaskiniami nieprawości.

– Ale czy jego doradcy i dowódcy wojskowi są równie nieświadomi? A co z nadwornymi magami?

– Magów już nie ma. Wygnał ich. A jeśli chodzi o resztę – Imid wzruszył ramionami – Macrotus nie byłby zadowolony, gdyby przejawiali zainteresowanie podobnymi sprawami. To by świadczyło o nieczystych pragnieniach, a przynajmniej o niebezpiecznej ciekawości.

– Wino gotowe – oznajmił Emancipor.

Dwoje świętych odwróciło głowy. W ich oczach błyszczał nienasycony głód.

– Podobne... występki nie są u nas dozwolone – wyszeptała Elas Sil.

Lokaj uniósł brwi.

– Absolutna abstynencja?

– Nie słyszałeś, co mówiliśmy? – warknął Imid. – Wszelkie tego rodzaju używki są w Dziwie nielegalne. Nie ma alkoholu, rdzawego liścia, durhangu ani proszków snów. Ani dla świętych, ani dla nikogo.

– Nie wolno też jeść mięsa – dodała Elas Sil. – Tylko jarzyny, owoce i ryby o trzech płetwach. Ubój zwierząt to okrucieństwo, a poza tym czerwone mięso jest niezdrowe.

– Nie ma też prostytucji ani hazardu – dorzucił Imid. – Wszystkie takie przyjemności są podejrzane.

Emancipor chrząknął w odpowiedzi. Postukał fajką o obcas i splunął z namysłem w ogień.

– To ciekawe – zauważył Bauchelain. – A czego od nas oczekujecie?

– Uwolnijcie nas od króla – poprosił Imid Factallo.

– Uwolnijcie, czyli obalcie.

– Zgadza się.

– Obalcie, czyli usuńcie.

– Tak jest.

– Usuńcie, czyli zabijcie.

Święci znowu wymienili spojrzenia. Żadne z nich nie odpowiedziało.

Bauchelain skierował wzrok na odległe miasto.

– Jestem skłonny – zaczął – poprzedzić przyjęcie waszej oferty ostrzeżeniem. Powiedzmy, że daję wam ostatnią szansę. Możecie nie powiedzieć już ani słowa, zabrać pieniądze i wrócić do domu, a ja i moja świta spokojnie udamy się do jakiegoś innego miasta. Ostrzegam was. Są na tym świecie rzeczy gorsze niż troskliwy król.

– Tak ci się tylko zdaje – odparła Elas Sil.

Bauchelain uśmiechnął się do niej dobrodusznie.

– To wszystko? – zdziwił się Imid Factallo. – Nie masz więcej pytań?

– Och, mam ich mnóstwo, szlachetny panie – zapewnił Bauchelain. – Niestety, to nie wam będę musiał je zadać. Możecie odejść.

* * *

Zdrowy Rycerz Invett Wstręt zatrzymał się nad koszykiem, w którym leżało płaczące niemowlę, i spojrzał z irytacją na grupkę rozmawiających przy studni kobiet.

– Czyje to dziecko?

Jedna z kobiet oddzieliła się od grupy i podbiegła do niego.

– Ma kolkę, o Nadzwyczaj Czysty. Niestety, nic nie da się na to poradzić.

Twarz Zdrowego Rycerza poczerwieniała.

– Bzdura – warknął. – Musi istnieć jakiś sposób na uciszenie tego bachora. Nie słyszałaś o ostatnim zakazie? Hałaśliwe niemowlęta będzie się konfiskować, żeby nie zakłócały dobrostanu obywateli. Będzie się je odnosić do Świątyni Pani, gdzie nauczą się Ścieżek Błogosławieństw. W skład rzeczonych ścieżek wchodzi śluby milczenia.

Nieszczęsna matka pobladła, słysząc słowa Invetta. Inne kobiety zabrały swoje dzieci i oddaliły się pośpiesznie.

– Ale – wyjąkała – zakazano używania lekarstw, które zawsze stosowałyśmy...

– Zakazano używania lekarstw? Oszalałaś?

– Zawierały zabronione substancje. Alkohol. Durhang.

– Matki miały w zwyczaju zatruchiwać krew i duszę swych dzieci? – Invett omal nie dostał apopleksji na tę myśl. – Nie dziwię się, że zakazano tak obmierzonego postępowania! I ty śmiesz się nazywać kochającą matką?

Kobieta podniosła koszyk.

– Nie wiedziałam o tym! Zabiorę ją do domu...

– Za późno. – Skinął dłonią i trzech czekających za jego plecami godnych podbiegło do kobiety. Szarpali się z nią przez chwilę, aż wreszcie jeden z nich wetknął jej palec w oko. Kobieta pisnęła z bólu i odskoczyła, wypuszczając koszyk. Godni zabrali go i uciekli. Kobieta zaczęła rozpaczliwie zawodzić.

– Cisza! – ryknął Invett. – Publiczne demonstracje uczuć są zabronione! Narażasz się na aresztowanie!

Nieszczęsna matka padła na kolana i zaczęła go błagać w zupełnie niestosowny sposób.

– Doprowadź się do porządku, niewiasto – warknął Invett, wykrzywiając usta we wzgardliwym grymasie. – I ciesz się z mojej łaskawości.

Oddalił się w ślad za swymi godnymi i ich wrzeszczącą podopieczną.

Po krótkiej chwili dotarli do Wielkiej Świątyni Pani. Uznano, że oficjalne wejście od frontu, z jego kamiennym podwyższeniem i umieszczonym na nim bryłowatym ołtarzem – z którego od czasu do czasu dobywał się głos Pani, objawiający jej wolę – jest zbyt eksponowane, by wnosić tędy płaczące dzieci. Dlatego Invett i jego godni skierowali się do bocznej furty. Jeden z godnych zapukał do niej, wystukując skomplikowany rytm. Po chwili drzwi otworzyły się ze skrzypieniem.

– Dajcie mi to – zażądał Invett, sięgając po koszyk z beczącym niemowlęciem o czerwonej buzi. Wszedł do korytarza i zamknął za sobą drzwi.

Spoglądająca nań kapłanka nosiła szatę i zasłonę na twarzy, które jednak nie ukrywały jej bliskiej otyłości tuszy. Wbiła w niemowlę głodne spojrzenie.

– Znakomicie – wyszeptwała. – To już trzecie dzisiaj. Pani jest zachwycona tym nowym zakazem.

– To mnie dziwi – warknął Invett. – Wkrótce będziecie tu mieli tysiąc wrzeszczących bachorów. Jak Pani zazna wówczas spokoju?

Kapłanka wyciągnęła rękę i uszczypnęła miękkie ramię niemowlęcia.

– Jest pulchne – wyszeptała. – Tak, to dobrze. Pokój Świątyni będzie zakłócony tylko na krótką chwilę.

Invett Wstręt zmarszczył brwi, zastanawiając się, dlaczego jej słowa wzbudziły w nim lekki niepokój. Zlekceważył go jednak z cichym chrząknięciem. Zdrowemu Rycerzowi nie przystało kwestionować decyzji innych sług Pani. Wręczył koszyk kapłance.

Niemowlę, które dotąd cały czas płakało, umilkło w jednej chwili.

Rycerz i kapłanka pochylili się i spojrzeli na dziecko, które nagle otworzyło szeroko oczy.

– Jak piskłę wróbla – wyszeptała kapłanka – kiedy sójka jest blisko.

– Nic nie wiem o ptakach – odparł Invett Wstręt. – Muszę już iść.

– To prawda.

* * *

Na brzegu kozła przysiadła wrona. Ptaszysko straszyciło pióra na wietrze, który pojawił się, gdy tylko zaszło słońce. Emancipor łypnął na nie spode łba.

– Jak myślisz, czy jest głodny?

Bauchelain, siedzący na składanym stołku obozowym naprzeciwko swego sługi, potrząsnął głową.

– Najadł się.

– Czemu tak na mnie patrzysz, panie?

– Zastanawiałem się, panie Reese.

O nie.

– Nad sposobem obalenia tego łaskawego króla?

– Łaskawego? Czy nie zdajesz sobie sprawy, panie Reese, jakich wyżyn diabolicznego geniuszu sięgnął ów władca? Najgorsza wyobraźalna tyrania staje się możliwa, jeśli tylko towarzyszy jej przekonanie, że zaprowadzono ją dla dobra ludności. Czy to protekcyjne? Oczywiście, ale co ma począć obywatel, jeśli oznajmia mu się to z całą niewinną szczerością? Skarżyć się na otrzymane korzyści? To mało prawdopodobne, zwłaszcza gdy ulubioną bronią dobrotliwego oprawcy jest poczucie winy. Nie... – Bauchelain wstał i odgarniając obiema dłońmi włosy, spojrział na pogrążone w mroku miasto; jego oczy błyszczały w półmroku – ...jesteśmy świadkami poczynań geniusza. A teraz będziemy musieli spróbować przechytrzyć tego sprytnego króla. Przyznaję, że krew krąży mi szybciej w żyłach na myśl o tym wyzwaniu.

– Cieszę się, że sprawia ci to satysfakcję, panie.

– Ach, panie Reese, widzę, że nadal nie rozumiesz, jak wielkie zagrożenie stanowi ów król dla takich istot, jak ty czy ja.

– Szczerze mówiąc, nie rozumiem, panie. Masz rację.

– Muszę więc jasno wytłumaczyć ci swe rozumowanie, w sposób na tyle prosty, by twój niewykształcony umysł mógł w pełni pojąć wszelkie implikacje. Pragnienie czynienia dobra, panie Reese, prowadzi do żarliwości. Ta z kolei wiedzie do świętoszkowatego przekonania o własnej słuszności, z czego rodzi się nietolerancja, szybko prowadząca do surowych osądów, skłaniających do wymierzania okrutnych kar, co z kolei wywołuje masowy terror i paranoję, powodujące z czasem rewoltę, po której nadchodzi chaos i rozprężenie, a następnie upadek cywilizacji. – Bauchelain odwrócił się powoli i spojrział na Emancipora. – A nasz byt zależy od cywilizacji. Jest ona jedynym środowiskiem, w jakim możemy żyć.

Lokaj zmarszczył brwi.

– Pragnienie czynienia dobra prowadzi do upadku cywilizacji?

– W rzeczy samej, panie Reese.

– Ale jeśli zasadniczym celem jest porządne życie i zdrowie ludności, chyba nie może być w tym nic, złego?

Bauchelain westchnął.

– No dobrze, spróbuję jeszcze raz. Porządne życie i zdrowie prowadzą do szczęśliwości. Ale szczęśliwość jest pojęciem względnym. Płynące z niej korzyści można zmierzyć tylko przez kontrast. Tak czy inaczej, rezultatem jest samozadowolenie wiodące do przemożnego pragnienia zmuszenia tych, których uważamy za mniej czystych, czy mniej szczęśliwych, nazwijmy ich nieoświeconymi, do dostosowania się do naszych norm. Jednakże zrodzony w ten sposób konformizm powoduje nudę, pociągającą za sobą zubożenie. A z zubożenia, panie Reese, w naturalny sposób wypływa rozprężenie, a za nim, ponownie, upadek cywilizacji.

– Już dobrze, panie. To znaczy, że stoi przed nami szlachetne zadanie zapobieżenia upadkowi cywilizacji.

– Celnie to ująłeś, panie Reese. Przyznaję, że etyczne aspekty naszej misji wydają mi się zaskakująco... świeże.

– To znaczy, że masz już jakiś plan?

– W rzeczy samej. I tak, odegrasz w nim zasadniczą rolę.

– Ja?

– Musisz udać się do miasta, panie Reese. Niepostrzeżenie, rzecz jasna. Gdy już tam się znajdziesz, będziesz miał do wykonania następujące zadania...

* * *

Ślepe oczy już od dawna wpatrywały się w dal, niczego nie dostrzegając. Nie było w tym nic dziwnego, jako że kruki dawno wydziobały z oczodołów wszystko, co nadawało się do zjedzenia. Nie było też powiek, którymi można by mrugać, ani łez, mogących zwilżyć wyschniętą skórę. Mimo to Necrotus Nihilistyczny, były król Dziwa, nie poczuł się zbyt zaskoczony, gdy powoli ukształtował się przed nim ziarnisty, zniekształcony obraz, zastępując rozciągającą się do tej pory przed oczyma jego duszy ciemność – widok, jakim przywitała go Otchłań.

Choć nie zdziwił go fakt, że ściągnięto go z niej z powrotem do wyschniętego, podziobanego przez ptactwo trupa, wiszącego na północnym murze miasta, do ciała, które w lepszych czasach zwał własnym, poczuł się jednak rozczarowany. Co gorsza, zorientował się, że potrafi mówić.

– Kto mi to zrobił?

Odpowiedział mu głos rozbrzmiewający nieco niżej, być może na wysokości jego piersi.

– Na to pytanie mogę ci udzielić więcej niż jednej odpowiedzi, królu Necrotusie.

Łańcuch łączący jego duszę z ciałem nie był aż tak krótki, by uniemożliwić mu lekkie wychylenie się na zewnątrz i spojrzenie w dół, mógł więc zobaczyć dwie wrony przycupnięte na sterczącym z muru zardzewiałym pręcie, na który nadziano jego trupa.

– Ach – odezwał się Necrotus – teraz rozumiem.

Jedna z wron uniosła głowę.

– Doprawdy? To czarujące.

– Tak. Chcecie porozmawiać o mnie. O moim życiu. Moim losie,

wszystkich miłościach, jakie straciłem w ciągu swych śmiertelnych lat. Tylko dlaczego muszę być świadkiem tej ironicznej zabawy?

– Chcemy pomówić nie o tobie, ale o twoim bracie – wyjaśniła pierwsza wrona.

– O Macrotusie? Tym płaczącym robaku? Dlaczego o nim?

– Choćby dlatego że jest teraz królem.

– Och. Oczywiście. Nie pomyślałem o tym. Nie zostawiłem dziedziców. Co prawda, mam mnóstwo bękartów, ale prawo jest w tej kwestii bardzo surowe. Miałem zamiar oficjalnie adoptować jednego z nich, lecz niespodziewanie zmarł. A nim zdążyłem wybrać następnego, ten sam los spotkał mnie.

– W rzeczy samej. Mam wrażenie, że nie zachowałeś się zbyt ostrożnie – stwierdziła pierwsza wrona. – Tak czy inaczej, mój towarzysz zbadał już pobieżnie twe zwłoki i odkrył w nich ślady trucizny.

Necrotus zastanowił się nad usłyszczanymi słowami.

– Ten kurdupel mnie otruł! Bogowie na dole, nigdy bym nie pomyślał, że się na to odważy!

– Ściślej mówiąc – ciągnęła wrona – zakłócił działanie alchemicznych środków przedłużających twoje życie, Necrotusie. Wydaje mi się to dziwne, biorąc pod uwagę jego obsesję na punkcie zdrowia.

– Rozumiesz, ja oszukiwałem. Nie znosił tego. Skonstruował taki mechanizm. Wypełnia całą komnatę. Macrotus wkłada uprząż i ćwiczy wszystkie mięśnie i stawy jednocześnie. Machina miota nim na wszystkie strony. Spędza w niej połowę dnia. Doszedłem do wniosku, że popadł w obłąd.

– Opowiedz nam o tej Pani Błogosławieństw – zażądała wrona.

– To pomniejsza bogini. Surowa, wiecznie przygnębiona i ma nos jak świnia. No wiecie, zadarty. Tak przynajmniej wyobrażają ją na posągach i statuach.

– To bogini?

– Tak sędzę. Ponoć mieszka na dole pod Wielką Świątynią. Dlaczego pytasz?

– Jest teraz oficjalną patronką miasta.

– Ta krwiożercza suka? Bogowie na dole! Gdybym nie był wyschniętym trupem zatkniętym na murze, to... to... no cóż, na pewno by do tego nie doszło!

– Hmm, królu Necrotusie, powinieneś się dowiedzieć, że nie jesteś na tym murze sam.

– Naprawdę?

– Chciałbym cię teraz zapytać, czy zgodzisz się pomóc w obaleniu twego brata, króla Dziwa?

– Lepsze to niż wiszenie tutaj. Jak wygląda wasz plan, wrony?

* * *

Emancipor zatrzymał się przed małym krzakiem, by opróżnić pęcherz. Wsłuchał się w głosy ptaków, witających świergotem ranek.

– Przyjrzyj się dobrze temu mętnemu żółtemu strumieniowi, panie Reese...

Lokaj drgnął.

– Panie! Hmm, zaskoczyłeś mnie.

– I w ten sposób zamieniłem strumień w wąską strużkę. Jeśli cię to

zainteresuje, to jestem przeświadczony, że wystarczyłoby parę drobnych zakłatek, by przetworzyć toksyny zawarte w twym moczu w taki sposób, iż jeden gest mógłby spowodować, że ten nieszczęsny krzak stanąłby w płomieniach. Jak już jednak mówiłem, przyjrzyj mu się uważnie, panie Reese. Za kilka dni ujrzysz ze zdumieniem, że wypływający z ciebie mocz jest tak czysty, że prawie niczym nie różni się od wody.

Emancipor skończył, spazmatycznie wyciskając ostatnie kropelki, otrząsnął penisa, schował i zawiązał tasiemki.

– Obawiam się, że nie rozumiem, panie...

– Żeby nie przyciągnąć w mieście niczyjej uwagi, panie Reese, będziesz musiał powstrzymać się od wszelkich niezdrowych nałogów. Niewykluczone, że wrócisz z tej misji jako zupełnie nowy człowiek.

Lokaj wytrzeszczył oczy.

– Powstrzymać się? Całkowicie? Ale czy nie mógłbym czegoś przemycić...

– Wykluczone, panie Reese. A teraz pozbądź się przedmiotów, które mogą wzbudzić podejrzenie. Tłum kupców na trakcie osiągnął idealną gęstość.

– Nie jestem pewien czy chcę to zrobić.

– Ach, ale jesteś moim pracownikiem, nieprawdaż? Nasz kontrakt przewiduje...

– Już dobrze! Oczywiście, panie – dodał. – Ale czy mógłbym zjeść śniadanie, zanim tam pójde? – zapytał spokojniejszym tonem.

– Proszę bardzo. Niech nikt nie mówi, że jestem okrutnym panem.

Wrócili do obozu, gdzie Reese pośpiesznie nabił fajkę rdzawym liściem i durhaniem, a potem skruszył lak zamykający butelkę wina.

– Kiedy skończysz – odezwał się Bauchelain, który stał obok i przyglądał się mu uważnie – zerwij trochę tego dzikiego anyżku, który rośnie przy ścieżce, i pożuj przez chwilę jego liście. To powinno pomóc w ukryciu rozmaitych woni bijących od twojej osoby. Szkoda, że nie znajdziemy tu dzikiego czosnku, cebuli albo skunksowych bulw... I nie przesadzaj z tym winem, panie Reese. Nie byłoby dobrze, gdybyś chwiał się na nogach i zataczał pod bramami Dziwa. Produkujesz tyle dymu, że możesz tu ściągnąć z miasta brygadę przeciwpożarową. Chyba wystarczy już tego, panie Reese. Ten anyżek...

– To koper, panie – zauważył Emancipor.

– Naprawdę? Nic nie szkodzi.

Lokaj wstał, nie zważając na zawroty głowy, podszedł do zielska i zaczął zrywać cienkie, obwisłe liście.

– Czuję się jak jakaś cholerna gąsienica.

– Jedna z tych biało-czarnych? – zainteresował się Bauchelain. – Miło mi poinformować cię, że one przeobrażają się w nadzwyczaj piękne motyle.

Emancipor wbił wzrok w swego pana.

Który odwzajemnił jego spojrzenie.

Przez chwilę panowała cisza. Potem Bauchelain odchrząknął.

– Dobra, w takim razie ruszaj.

* * *

Gdy Imid Factallo szedł Aleją Gońców, połową jego twarzy targały dziwne tiki. Zaczęły się przed kilkoma dniami i były skutkiem rany głowy. Sądził dotąd, że zagoiła się ona całkowicie. Teraz jednak oprócz tików zaczęły go nawiedzać dziwne myśli. Pragnienia. Zabronione pragnienia.

Zastanawiał się, czy oboje z Elas Sil postąpili właściwie, było już jednak za późno na wątpliwości. Ten czarodziej, Bauchelain, był... przerażający, na osobliwy, niesamowity sposób. Wydawało się, że jego duszy śmiertelnika nigdy nie nawiedziła żadna ciepła myśl, że wszystko, co się w niej kryje, jest mroczne i zimne. A opowieści z nadmorskiego miasta, które słyszał Imid... był ponoć jeszcze drugi czarodziej o nadzwyczaj podłych upodobaniach. A to znaczyło, że jest... zły.

Zło było pojęciem, nad którym Imid rzadko się zastanawiał, ale ostatnio myśl o nim nie przestawała go prześladować. W starym Necrotusie Nihilistycznym nie było właściwie nic szczególnie dobrego. Oddawał się on wszystkim zwyczajowym występkom typowym dla tych, którzy sprawują absolutną władzę. Wprowadził wiele represyjnych praw, mających na celu, jak tłumaczyła Elas Sil, umożliwienie królowi swobodnego korzystania ze swych bogactw kosztem prostego ludu. Gdy jednak człowiek płacił na czas dziesięcinę i nie zabił ani nie obrabował nikogo ważnego, mógł żyć spokojnie i nikt nie przysparzał mu kłopotów. Rzecz jasna, przenikająca system korupcja spływała swobodnie do dolnych warstw i toksyna cynizmu zatruwała najmłodszych stopniem strażników miejskich równie skutecznie jak króla. Większość problemów rozwiązywało przekupstwo, a tam, gdzie okazywało się ono bezsilne, sprawę załatwiała szybka, brutalna przemoc. Innymi słowy, życie było proste, nieskomplikowane i łatwe do zrozumienia.

Niewykluczone jednak, że było również złe – z powodu apatii, zubożenia i milczącej akceptacji nieludzkiej bezwzględności. Okrutny król uczy okrucieństwa szlachtę, ta z kolei kupców i tak dalej, aż po okrutne bezdomne psy. Mimo to Imid Factallo pragnął powrotu owych czasów. Okazało się bowiem, że gorliwy król, król ogarnięty obsesją na punkcie czynienia dobra, zarzązał wszystkich poddanych żarliwością, z której również rodziły się najprzeróżniejsze formy okrucieństwa. Ich źródłem było surowe moralizatorstwo – Elas Sil upierała się, że takie słowo istnieje, a jeśli nawet przedtem go nie było, to teraz już jest. Szał szlacheckich ideałów wprowadzanych w życie bez elastyczności ani współczucia okazał się równie niszczycielski dla ludzkiego ducha jak

wszystko, czym dręczyli obywatele Necrotus i jemu podobni.

Zło miało niezliczone oblicza, a niektóre z nich były otwarte i szczere.

Natomiast inne, jak twarz Bauchelaina, nie zdradzały nic. Absolutnie nic.

Imid nie potrafił zdecydować, które z tych dwóch oblicz jest bardziej przerażające.

Dotarł do domu Elas Sil, zapukał trzy razy, jak nakazywał zwyczaj, a potem wszedł do środka. Prawo obecnie na to pozwalało, prywatność bowiem skłaniała do oddawania się... prywatnym występkom. Gdy przekroczył drzwi, kobieta wyszła pośpiesznie z ukrytej za kotarą izby na zapleczu i poprawiła bluzę z miną wyraźnie świadczącą o poczuciu winy.

Imid postąpił dwa kroki naprzód, a potem zamarł w bezruchu, porażony grozą.

– Kto tam jest? – zapytał. – Wykastrują go! A ciebie... ciebie...

– Och, bądź cicho. Nikogo tam nie ma.

Wlepił w nią spojrzenie.

– Onanizowałaś się! To zabronione!

– Ale nikt nigdy nie dowiedział, że to szkodzi, prawda?

– Nie w sensie fizycznym. Ale w sensie emocjonalnym z pewnością! Czy można w to wątpić, Elas Sil? Twój umysł ulega niskim popędom, które prowadzą do obrzydliwych żądz, obrzydliwe żądze wiodą ku pokusie, a ta z kolei do...

– Upadku cywilizacji. Wiem o tym. No, to czego ode mnie chcesz, Imid?

– Przyszedłem tu, żeby, hmm, coś ci wyznać.

Podeszła bliżej. Pachniała kobiecymi sokami, a na jej twarzy pojawił się szyderczy uśmiezek.

– Chciałeś mi coś wyznać, Imidzie Factallo? A co święci mogą wyznać sobie nawzajem, jeśli nie fakt, że dręczą ich pokusy? Ty hipokryto!

– Wyznaję, że jestem hipokrytą! Zadowolona? Czuję... impulsy. Rozumiesz?

– Och, mniejsza z tym. – Elas odwróciła się i usiadła na pobliskim krześle. – Wszystko to jest strasznie żalosne, nieprawdaż? Słyszałeś, że kradną teraz dzieci? Jeśli niemowlę płacze, łamie w ten sposób prawo. Albo jeśli dzieci bawią się w wojnę na ulicy. – Rozejrzała się wokół. – Wykonałeś dzisiaj przepisane ćwiczenia?

– Nie.

– Dlaczego masz te tiki?

– Nie wiem. To pewnie skutek uboczny.

– Zdrowego życia?

– Bardzo śmieszne.

– A może poćwiczylibyśmy razem?

Imid przymrużył powieki.

– Co masz na myśli?

– Coś bardzo nielegalnego. Twoja wizyta mi przerwała.

– To nie są ćwiczenia!

– To ci dopiero przygnębiające wyznanie, Imidzie Factallo. Oczywiście, mogę to potraktować jak wyzwanie.

– Jesteś obrzydliwa. – Przerwał na chwilę. – Powiedz jeszcze coś obrzydliwego.

* * *

Gdy Emancipor Reese minął miejską bramę nie zatrzymywany przez nikogo, zalewał go pot. Nerwy miał napięte jak postronki i dręczyły go lekkie mdłości. To pewnie przez pył oraz smród wołów i spoconych mułów, powtarzał sobie, przepychając się między wieśniakami, którzy usiłowali przeprowadzić obładowane wozy wąskim przejściem. Z błogosławieństwem Oponn powinno mu się udać wykonać do jutra zadanie, dzięki czemu wróci do rozsądnego stylu życia – a przynajmniej w stopniu, w jakim było to możliwe w towarzystwie dwóch pryncypałów o morderczych skłonnościach.

Miał nadzieję, że jego żonie w Smętnej Laluni niczego nie brakuje. Zostawił jej pieniądze. Bachory zapewne nadał chodzą do szkoły, choć niewykluczone, że starszy został już uczniem cechowym. W końcu minęły cztery lata. Całe życie, biorąc pod uwagę, przez co lokaj musiał przejść od owego pamiętnego dnia, gdy zapukał w pijanym widzie do drzwi pokoju Bauchelaina w gospodzie „Pod Żałobnikiem”.

Emancipor podejrzewał, że znalazła już sobie kochanków. Marynarzy, rybaków, być może nawet paru żołnierzy. Nie miał o to do niej pretensji. Życie matki bez męża u boku było samotne.

W odległości dwudziestu kroków od bramy Reese wydostał się z grupy wozów i porykujących zwierząt pociągowych. Rozejrzał się wokół, próbując się zorientować, czym to miasto różni się od całej masy innych, które do tej pory widział. Przede wszystkim było tu ciszej. Po prawej, na końcu wąskiej uliczki, zobaczył coś, co wyglądało na plac. Stały na nim szeregi obywateli, wymachujących rękami i podskakujących w miejscu. Emancipor zadał sobie pytanie, czy ci ludzie mogą być świętymi. Być może wszyscy uderzyli się kiedyś w głowę i byli teraz całkowicie obłąkani. Na ulicy widziało się niewielu urwisów, a w ogóle nie było tu żałosnych nędzarzy zebrzących w rynsztokach o drobne monety. W

gruncie rzeczy, sama ulica również była zaskakująco czysta.

Lokaj pomyślał, że jeśli tak wygląda zdrowe życie, to z pewnością wcale nie jest takie złe.

Rzecz jasna, nie miało to potrwać długo. Nie, jeśli Bauchelain i Korbal Broach knuli już upadek tego wszystkiego. Poczł ukłucie żalu.

– Co ty tu robisz?

Emancipor odwrócił się nagle.

– Słucham?

Stojąca obok kobieta miała na sobie białą emaliowaną zbroję oraz pelerynę tej samej barwy, obszytą złotym jedwabiem. Jej twarz mogłaby należeć do marmurowego posągu wyrzeźbionego przez jakiegoś artystę dręczonego obsesją na punkcie doskonałości. Do tego obrazu pasował nawet biały puder pokrywający policzki po obu stronach symetrycznego, lekko zadartego noska. Z czerwoną szminką błyszczącą na wargach kobieta wyglądała, jakby przed chwilą wypła dzbanek krwi. Zimne i twarde spojrzenie niebieskich oczu wbijało się w lokaja z wyniosłą pogardą.

– Wałęsasz się, obywatelu.

– Właściwie to się wahałem.

Kobieta zamrugła, a potem zmarszczyła brwi.

– A czy jest jakaś różnica?

– Oczywiście – zapewnił Emancipor. Zadał sobie pytanie, czy jej to wyjaśnić, ale doszedł do wniosku, że lepiej tego nie robić.

– Tak czy inaczej, wahania też zbytnio nie lubimy – oznajmiła po chwili kobieta.

– W takim razie już sobie pójdę.

– Tak, ale najpierw powiedz mi, dokąd? Sądząc z akcentu, jesteś cudzoziemcem. Nie próbuj zaprzeczać! A cudzoziemcy nas niepokoją. Wyznają przeciwne dyscyplinie poglądy. Muszę się dowiedzieć o tobie wszystkiego, zaczynając od tego, w jakim celu przybyłeś do Dziwa. No, gadaj!

Jej tyrada zwabiła grupkę gapiów. Spoglądali na Emancipora z nieskrywaną podejrzliwością, czekając na jego odpowiedź.

Na pomarszczone czoło lokaja wystąpiły kropelki potu. To Bauchelain powinien odpowiadać na te cholerne pytania. Albo, co byłoby jeszcze zabawniejsze, Korbal Broach ze swymi paciorkowatymi, pozbawionymi wyrazu oczyma i łagodnym, zwiotczalym uśmiechem. Nagle lokaj doznał olśnienia. Obrzucił wojowniczą kobietę zaszklonym spojrzeniem.

– Kim jesteś? Głowa mnie boli. Gdzie jesteśmy?

Zasepiła się jeszcze bardziej.

– To ja zadaję pytania.

– Co się stało? – kontynuował Emancipor. – Ocknąłem się pod bramą. Chyba... pracowałem. Tak, pracowałem. Kopaliśmy z grupą robotników rów odwadniający. Był tam wielki głaz, chcieli, żebyśmy go przesunęli. Zacząłem go pchać, a potem... ból! W głowie! Na Panią, nawet nie wiem, jak się nazywam!

Gapie głośno zaczerpnęli tchu.

– To święty! – zawołali.

– Czy któryś ze Zdrowych Rycerzy ogłosił cię świętym? – zapytała kobieta.

– Hmm, chyba nie. Nie pamiętam. Być może. Jaki mamy dziś dzień?

– Świętego Ebara, wybrany! – odpowiedział jeden z gapiów.

– Siedem miesięcy! – zawołał Emancipor. Potem przeklął sam siebie. Za długo! Co mu przyszło do głowy?

– Siedem miesięcy? – Zdrowa Rycerka podeszła bliżej. – Siedem miesięcy?

– Tak... tak mi się zdaje – wyjąkał Emancipor. – Jaki mamy rok?

Idiota! Tylko pogarszał sytuację!

– Drugi rok panowania Macrotusa.

– Macrotusa! – zdumiał się lokaj. Przestań gadać od rzeczy, ty durniu! Natychmiast! Znowu poczuł natchnienie. Emancipor zatoczył oczyma, jęknął i padł na bruk. W tłumie rozległy się krzyki. Kilku ludzi podeszło do niego.

Słyszał rozmowy.

– Czyżby to był on?

– Pierwszy Święty Chwalebego Trudu? Powiedział siedem lat, prawda? Słyszałem to. Siedem!

Zdrowa Rycerka warknęła gniewnie.

– Mit o Pierwszym Świętym... chciałam powiedzieć, że szukaliśmy takiej osoby, ale nie udało się nam jej znaleźć. Poza tym to cudzoziemiec. Pierwszy Święty nie może być cudzoziemcem.

– Ale, Błogosławiona Rycerko Zdrowia – nie ustępował jeden z gapiów – wszystko, co powiedział, się zgadza! Pierwszy Święty, zwiastun wszystkiego, co miało się wydarzyć! Królewskie Proroctwa...

– Znam je, obywatelu! – warknęła kobieta. – Uważaj, bo mogę dojść do wniosku, że głośno się kłócisz w miejscu publicznym!

– Co się tu dzieje? – rozległ się dobiegający z pewnej odległości stentorowy głos.

– Ach, Invett Wstręt – rzekła z niejaką ulgą kobieta. – Proszę, zechciej łaskawie pomóc mi w rozstrzygnięciu tej sytuacji.

– Sytuacji? – powtórzył mężczyzna, zbliżywszy się. – Niezbyt lubimy sytuacje, Storkul Czystka. Nawet niska rangą Zdrowa Rycerka, taka jak ty, powinna o tym wiedzieć.

– Na każdym kroku staram się wspierać konformizm, o Najczystszy z Paladynów.

– I bardzo słusznie, bo w przeciwnym razie twoje uczynki mogłyby się wydać szczególne albo nawet, niech nam Pani wybaczy, jedyne w swoim rodzaju. Chyba nie uważasz się za jedyną w swoim rodzaju, Storkul Czystka?

– Z pewnością nie – zapewniła nagle ściszone głosem. – Moja wrodzona przeciętność pozostaje nieskalana, Najczystszy. Mogę cię o tym zapewnić.

– Co się tu dzieje? Kim jest ten nieprzytomny mężczyzna?

– To Pierwszy Święty, Najczystszy Paladynie Zdrowia! – odparł pośpiesznie nieustępliwy obywatel. – Nie zachował żadnych wspomnień z ostatnich siedmiu lat!

– W takim razie, dlaczego jest nieprzytomny?

– Wstrząsnęły nim pytania zadawane przez Zdrową Rycerkę. To było... szokujące! Dzięki Pani, że przybyłeś!

Pechowa Storkul Czystka nie próbowała zaprzeczać ani się tłumaczyć. Leżący u jej stóp Emancipor poczuł nagły przypływ współczucia, który jednak szybko minął. Niech ma za swoje, pomyślał. Otworzył oczy – co natychmiast zauważono – i spojrzał na Storkul Czystkę. Potem znowu

jęknał i na pozór stracił przytomność.

– Znowu to zrobiła! – wydyszał obywatel.

– Opuść nas, Storkul Czystka – rozkazał Invett Wstręt – i zaczekaj na Rycerski Sąd w Diennej Świątyni Zdrowia.

– Tak jest, Najczystszy Paladynie – odparła słabym głosem kobieta.

Emancipor słyszał jej oddalające się kroki.

– Przebudź się, Pierwszy Święty – polecił Invett Wstręt.

To była wymarzona sytuacja. Emancipor rozchylił powieki i wlepił wzrok – z początku oszołomiony, a potem jakby rozpoznając otoczenie – w rzeźbione rysy stojącego nad nim zakutego w zbroję rycerza.

– Ni... nigdy cię nie widziałem – zaczął lokaj – ale wyczuwam czystość twojej duszy. Z pewnością to ty jesteś paladynem. Z pewnością jesteś Invett Wstręt.

W bystrych, niebieskich oczach mężczyzny pojawił się błysk zadowolenia.

– Masz rację, Pierwszy Święty. Istnieje mało znane proroctwo, mówiące, że to ja cię znajdę i przyprowadzę do naszego króla. Czy czujesz się już na tyle dobrze, że możesz wstać?

Emancipor podźwignął się z trudem. Zachwiał się, ale podtrzymała go obleczone w pancerną rękawicę dłoń.

– Chodź, Pierwszy Święty Najchwalebniejszego Trudu...

Pod lokajem ugięły się kolana i paladyn był zmuszony go podtrzymać.

– Co się stało, przyjacielu? – spytał zaniepokojony Invett Wstręt.

Emancipor wyprostował się, ignorując otaczający ich coraz liczniejszy

tłum, i pochylił się do ucha paladyna.

– Mia... miałem wizję, Najczystszy. Okropną wizję!

– To zaiste straszliwa wieść! I co zobaczyłeś?

Emancipor uniósł nieznacznie głowę. Będzie musiał szybko coś wymyślić.

– Ta wiadomość jest przeznaczona tylko dla króla i dla nikogo innego.

– Nawet nie dla Wielkiej Mniszki Pani?

– Ach, tak. Dla niej też.

– W takim razie musimy się śpieszyć. Chodź, posłużę ci ramieniem...

* * *

Zdrowa Rycerka Storkul Czystka opierała się o tylną ścianę Diennej Świątyni, wpatrując się przed siebie niewidzącymi oczyma. Zalewały ją fale strachu. Była zgubiona. Rycerskie Sądy zawsze kończyły się fatalnie dla oskarżonych. Zasiadała w nich wystarczająco często, by zdawać sobie sprawę z tej nieprzyjemnej prawdy. Świetnie sobie przypominała niską, skrywaną przyjemność, jaką czuła, dodając swój głos do potępiającego obwinionych chóru. Występki przeciwko zdrowiu były obecnie bez wątpienia najpoważniejszymi ze wszystkich zbrodni, a ich powaga z każdym dniem stawała się coraz poważniejsza. Storkul zmarszczyła brwi na tę myśl, a potem potrząsnęła głową. Nagle zaniepokoiła się, że traci zmysły.

Ale z drugiej strony może tak będzie lepiej. Obłąd spowije ją niczym kokon, gdy nadejdzie chwila ogłoszenia wyroku.

Niech szlag trafi Invetta Wstręta! Wszyscy Zdrowi Rycerze wiedzieli, że mit o Pierwszym Świątym jest czystym wymysłem. Cudzoziemiec był niewiele więcej niż spryciarzem o szybkim refleksie, wystarczająco

byстрыm, by zadrwić z drogiego mieszkańcom Dziwa przesądu, a jednocześnie polechtać próżność Wstręta. Jeśli kogoś tu powinno się osądzić, to tylko Paladyna Czystości, który grasował po mieście spowity w oślepiający tuman swej nieskalanej prawości, tak gęsty, że mógłby udusić nawet najzdrowszego obywatela. Ach, może to była jakaś szansa? Czy Invett Wstręt nie wynosił się nad innych? Czy jego nie obowiązywały konformizm i bezpieczna przeciętność? Czy Storkul ośmielił się rzucić mu wyzwanie?

– Pożre mnie żywcem – wyszeptwała. – Nie ma się co oszukiwać. Już ostrzy szpikulec, na którym zatknie mnie ma murze. Na Panią, muszę się napić!

Zamknęła z głośnym trzaskiem usta. Rozejrzała się wokół i przekonała z ulgą, że nikt nie słyszał jej słów.

– Czy ktoś coś mówił o picciu? – wychrypiął nagle ktoś cichym głosikiem.

Storkul Czystka odwróciła gwałtownie głowę. Wydawało się, że głosik rozległ się gdzieś blisko, ale nikogo tu nie było.

– Kto mówi? – zapytała.

– Zwęszyłem nadzwyczaj rozkoszny trop.

Zdrowa Rycerka spojrzała w dół i zobaczyła małą, odzianą w jaskrawy strój postać, leżącą obok jej prawego buta. Stworzenie pociągnęło nosem.

– Nie poznajesz mnie, Storkul Czystka? Co prawda, ten strój nie bardzo na mnie pasuje. Należał do tancerza, który płaśał radośnie...

– Ty durniu – przerwała mu Storkul z szyderym uśmiechem. – To kaftan marionetki. Widać jeszcze sznurki.

– Marionetki? – powtórzyło słabym głosikiem stworzenie. – Och! Ależ się umniejszyłem!

– Jesteś Występek – stwierdziła. – Jesteś Ineb Kaszel. Jak to się stało, że jeszcze żyjesz?

– Och, nic nie rozumiesz! Ledwie zdołałem się do ciebie doczołgać. Zew twego pragnienia... usłyszałem go!

– Mylisz się...

– Ach, kłamstwo! Znakomicie! Tak jest, kłamstwa są dobre. To od nich się zaczynam!

– Cicho! Ludzie usłyszą.

– Coraz lepiej. Tak jest, będziemy mówić szeptem. Chcesz się napić, tak? Alkoholu? Zwęszyłem trop, wiodący za Lądową Bramę. Mówię ci, trop pachnący najróżniejszymi używkami. Alkoholem, rdzawym liściem, durhaniem...

– Za Lądową Bramę? Przed chwilą pod nią byłam!

– Ktoś wszedł do miasta, moja droga...

– Ktoś? Cudzoziemiec? Tak jest, cudzoziemiec!

Wiedziała!

– Musimy dotrzeć po jego tropie tam, skąd przybył, Storkul Czystka. Musimy!

Kobieta umilkła, pogrążywszy się w myślach. Przez jej umysł przemykały wizje. Dramatyczne oświadczenia, sceny triumfu połączonego z upadkiem cudzoziemca oraz Invetta Wstręta. Nie mogła jednak działać zbyt szybko. Nie, musi poczekać, aż ci dwaj połączą się ściślejszymi więzami, staną współnikami w wielkim oszustwie. Tak jest, teraz to wiedziała. Wkrótce Dziwo będzie miało nowego obrońcę czystości.

Ale najpierw...

– Zgoda, Inebie Kaszel. Zróbmy to.

– Cudownie! Weź mnie na ręce, kobieto o czarnym sercu. Opuścimy miasto przez Lądową Bramę i wyjdziemy na trakt!

– Cicho! Znowu mówisz za głośno! – Podniosła z ziemi maleńkie stworzonko, jakim stał się Ineb Kaszel. – Nic już nie mów – wyszeptała – dopóki ci nie powiem, że jest bezpiecznie.

Gdy zbliżyła się do bramy, strażnik podszedł do Storkul, nie spuszczać z niej spojrzenia.

– Co tu masz, Zdrowa Rycerko?

– Nadzwyczaj straszliwe dziecko – odparła. – Jest zarażone.

– Zarażone? – powtórzył mężczyzna, odsuwając się nieco.

– Dzieci wcale nie są niewinne. Tylko niedoświadczone. To błędne wyobrażenie jest bardzo powszechne. Na przykład, to dziecko jest głośne, natarczywe, agresywne i dba tylko o siebie.

– Musi być naprawdę szczególne.

Ty głupi wypierdku muła, nie ma matki, która by ci nie powiedziała, że przed chwilą opisałam każde dziecko na świecie.

– W rzeczy samej. Jest tak szczególne, że nie mamy innego wyboru, jak usunąć je z miasta.

– I co zamierzasz z nim zrobić? – zainteresował się strażnik.

– Zostawię je wilkom. Rzucę w koszyku na fale odpływu. Sprzedam bezwzględny, niczego niepodejrzewającym handlarzom niewolników. Jeszcze nie zdecydowałam, strażniku. Usuń się, proszę, na bok, bo inaczej wapory tego niegodziwego bachora mogą cię zatruć...

Mężczyzna znowu cofnął się o krok, a potem przepuścił Storkul

nerwowym gestem.

Gdy już znalazła się na trakcie, odważyła się przystanąć.

– Dobra, nikogo tu nie ma. W którą stronę?

– Prosto przed siebie – odparł Ineb – czterdzieści kroków, potem w lewo ścieżką dla bydła, aż na wzgórze. Na sam szczyt. Bogowie na dole, zapach jest coraz silniejszy. Jaki piękny!

Najniższe żądze skłoniły ją do przyśpieszenia kroku. To było niepokojące. Co prawda, w dawnych czasach ulegała najprzeróżniejszym nałogom, była słodką uwodzicielką w służbie demona, którego niosła teraz pod pachą. Jak miód w pułapce na osy, kudłata mysz w dole na węże, dziwka stojąca pod tylnymi drzwiami świątyni. To było dobre, choć toksyczne życie. Musiała przyznać, że tęskni za owymi dniami, czy raczej za nocami. Niemniej jednak, gdyby cudzoziemiec i Invett Wstręt nie uknuli spisku mającego doprowadzić do jej natychmiastowego upadku, z pewnością nadal wiodłaby życie Rycerki Zdrowia o czystych myślach – no, powiedzmy z reguły czystych – borykającej się z trudami zbożnego, zdrowego życia. Nadal budziłaby szacunek i strach, nadal byłaby wyniesiona wysoko ponad masy tłoczących się na ulicach Dziwa nędzników, których miała reprezentować: Nędzników nie zasługujących na nic więcej niż szydercza pogarda.

Istniała też pewna mało znana prawda. Zdrowotna aktywność powinna już w zauważalny sposób przedłużyć życie obywateli, jednakże wiążący się z nią wyczerpujący stres sprawiał, że ludzie marli jak muchy. Nie ulegało wątpliwości, że przeciętny obywatel nie jest w stanie sprostać wymogom zdrowego trybu życia. Ludzie padali ofiarą ćwiczeń i nadużycia jarzyn. Okazało się, że błogosławieństwa kosztują wiele. Cyrulicy meldowali, że najczęstszą skargą pacjentów są obecnie kłopoty z wypróżnieniem.

– W tym rzecz – mruknęła pod nosem, wspinając się na wzgórze ścieżką dla bydła. – Miasto musi po prostu zwalić porządną kupę. Ha!

– Na początek – zgodził się Ineb Kaszel. – Tak jest, to oczyściłoby organizm. Gwałtowne uwolnienie się od...

– Przymknij się – warknęła Storkul. – Mówiłam do siebie.

Demon pociągnął słabo nosem.

– Nie odniosłem takiego wrażenia.

– To się pomyliłeś.

– Jak sobie chcesz, ale słyszałem co innego.

– Źle słyszałeś.

Stworzenie szarpnęło się gwałtownie pod jej pachą, wymachując obleczonymi w barwny strój kończynami.

– Już dobrze! Przepraszam! Przepraszam!

– Świetna robota – rozległ się trzeci głos.

Dobiegał ze szczytu wzgórza, trzy kroki przed nimi. Storkul Czystka zatrzymała się nagle i spojrzała na nieznanego.

– Słucham? – zapytała. – Jaka robota?

– Jesteś brzuchomówczynią, tak? Zawsze uważałem, że to fascynujące zajęcie, ściśle powiązane z tajemniczymi czarami i osobliwymi cechami umysłu.

– Ona nie jest żadną brzuchomówczynią – warknął Ineb Kaszel, nie przestając się miotać.

Siwobrody, elegancko ubrany mężczyzna prawie się uśmiechnął.

– Zapewniam, hmm, was oboje, że wasz występ sprawił mi wielką radość. Będziecie zachwyceni szczodrością zapłaty, jaką ode mnie

otrzymacie.

– Jestem Zdrowa Rycerka Storkul Czystka! Nie jestem jarmarczną sztukmistrzynią! A kim ty jesteś i co tu robisz? Czy ten obóz na szczycie wzgórza należy do ciebie? Odpowiedz mi w imię Pani Błogosławieństw, niech cię szlag!

– Odpowiedz jej! – poparł ją demon, chrypiąc złowieszczo.

Nieznajomy zaklaskał w długopalce dłonie.

– Och, to naprawdę znakomite!

Rycerka i demon zawyli z oburzenia.

– Nadzwyczajne!

Storkul Czystka rzuciła demona na ziemię i ruszyła gniewnie w stronę mężczyzny.

– Czuję rdzawy liść! – zawołał miotający się w pyle za jej plecami Ineb Kaszel.

Nieznajomy cofnął się o krok, unosząc cienkie brwi.

– Cóż za nadzwyczajny dramatyzm – zauważył. – I do tego czary najwyższego stopnia, bo nie widzę żadnych sznurków...

– Cisza, nędzny kundlu! – Zauważyła stojący na drugim końcu płaskowyżu, na szczycie, wóz oraz dwa białe jak kość woły, z wywalonymi głupio ozorami, jak to mają w zwyczaju te zwierzęta. Gdy jednak oba spojrzały na nią, rycerka zadrżała, widząc ich czarne jak onyks oczy. W pobliżu widać było pozostałości ogniska, a obok pierścienia kamieni leżały dwie butelki po winie. – Alkohol! Tak jak podejrzewałam! – Spojrzała na cudzoziemca. – Nieświadomość istnienia zakazów nie stanowi dopuszczalnej obrony! Powinnam cię aresztować i...

– Chwileczkę – przerwał jej mężczyzna, unosząc palec, na którym

następnie wsparł brodą podbródek. – Choć nieświadomość istnienia zakazów może nie stanowić dopuszczalnej obrony, to co z nieświadomością tego, co stanowi dopuszczalną obronę?

– Słucham?

– I z twoją nieświadomością tego, jakie właściwie zarzuty powinno mi się postawić? – dopytywał się mężczyzna, wybijając palcem miarowy rytm. – Czy w takim przypadku w ogóle istnieje jakaś dopuszczalna obrona?

– Wiem, jakie zarzuty powinno się ci postawić!

– To dlaczego wypowiadasz się tak niejasno?

– Nie wypowiadam się niejasno!

– Ach – mruknął z lekkim uśmiechem i pokiwał leniwie palcem.

– Uciszcie się oboje! – wrzasnął demon, wdrapując się z wysiłkiem na szczyt. – Storkul Czystka, czy zapomniałaś już o swych pragnieniach? Zapomniałaś, co nas tu sprowadziło?

Rycerka odwróciła się i zerknęła z góry na Ineba Kaszla, tłumiąc pragnienie rozdeptania go. Potem wzięła się w garść i ponownie spojrzała na cudzoziemca.

– Demon ma rację – przyznała. – Nie przyszłam tu jako Rycerka Zdrowia.

– Rycerka Zdrowia? Rozumiem – rzekł cudzoziemiec, kiwając powoli głową. Przeniósł spokojne spojrzenie na Ineba Kaszla. – To w rzeczy samej demon, choć znacznie umniejszony. Ale dzięki temu znakomicie mógłby pełnić funkcje ozdobne. Gdybym miał kominek... niestety, z podróżami wiążą się pewne niedogodności.

– Kominek – wysyczał oburzony demon. – Byłem kiedyś olbrzymem!

Tyranem Hedonizmu! Tak właśnie mnie nazywano. Demon Występku nie miał sobie równych, ty przeklęty czarodzieju! Wszyscy mi się kłaniali: Otyłość, Lenistwo, nawet Pożądliwość!

– Mieliście w Dziwie postać fizyczną? – zdziwił się mężczyzna. – To nadzwyczajne. Ta, która jest za was odpowiedzialna, wykazała się nadzwyczajną ekstrawagancją. Chciałbym ją kiedyś spotkać.

Storkul Czystka uniosła głowę.

– Ją? Skąd wiesz, że to była kobieta?

Mężczyzna spoglądał na nią przez krótką chwilę, a potem się odwrócił.

– Chodźcie, przyjaciele, usiądźcie ze mną przy naszym skromnym ognisku. W bagażu mojego lokaja z pewnością znajdziemy imponujący zapas nielegalnych substancji.

Wskazał na wystygłe popioły, rozbłysła magia...

I pobliski krzak stanął w płomieniach.

Mężczyzna poderwał się nagle.

– Najpokorniej przepraszam. Zapewniam, że to nie było celowe.

Ponownie skinął dłonią i w ognisku pojawiły się drwa. Bijące od nich ciepło i głośne trzaski świadczyły, że już płoną. Tymczasem krzak nadal nie gasł, sięgając ku niebu jęzorami ognia o niezwykłych barwach. Spoglądając na niego z ukosa, Storkul Czystka podeszła do ogniska. Ineb Kaszel czołgał się za nią, sapiąc i chrząkając cicho. Wydawało się, że zmierza ku leżącym na ziemi butelkom.

– Niech ci się nie zdaje, że przyszedłam tu po to, by oddawać się niezdrowym nałogom – oznajmiła rycerka.

– Mówisz „niezdrowym”? – mruknął mężczyzna. Zmarszczył w zamyśleniu szerokie czoło, przeglądając zawartość wytartego skózanego

worka. – To z pewnością kwestia opinii. Osobiście raczej lubię wino. Uważam, że dobrze wpływa na organizm i, w umiarkowanych ilościach, dodaje wigoru. Nie widzę w tym nic niezdrowego.

– Wino zatrzuwa mózg – odparła ostrym tonem rycerka. – A nawet zabija go małymi krokami. Jeszcze groźniejszy jest fakt, że wnika w krew i rozluźnia naturalną dyscyplinę.

– Naturalną dyscyplinę? Bogowie na dole, cóż to za osobliwy pomysł!

– Nie ma w nim nic osobliwego – sprzeciwiła się Storkul Czystka. – To mechanizm wykorzystywany przez instynktowne pragnienie zdrowia.

– Rozumianego jako przeciwieństwo dobrego samopoczucia.

– Zdrowie i dobre samopoczucie nie są przeciwieństwami.

– To śmiałe stwierdzenie, panno Czystka. Och, byłem nieuprzejmy. Jestem Bauchelain. Jak widzicie, jestem tylko spokojnym podróżnikiem, który nie planuje, och, w żadnym wypadku, osiedlić się w waszym pięknym mieście.

– Co jest z tymi twoimi wołami, Bauchelain? Ich oczy...

– To rzadka rasa...

Ineb Kaszel prychnął głośno, włożył na pierwszą z butelek i wysunął cienki języczek ku jej szyjce.

– Ach. Mniam. Umm.

Demon wylizywał ciemne, szorstkie szkło, zupełnie jak kot.

– Spójrzcie, co tu mamy – mówił Bauchelain, rozkładając na ziemi kolejne przedmioty. – Rdzawy liść. Durhang w postaci suszonych liści i miękkich kulek. Biały nektar. Skąd on go wziął, na królestwo Kaptura? Uthurski mak... hmm, to zestaw medykamentów, których wspólną cechą jest to, że wywołują otępienie, koją stargane nerwy. Nie miałem pojęcia, że

mój flegmatyczny lokaj cierpi na takie dolegliwości. Ach, jest też wino. I likier brzoskwiniowy, i gruszkowy. I spermacet. Królowo Snów, co on z tym robił? Mniejsza z tym, każde z nas jest na swój sposób cudem i tajemnicą, nieprawdaz? Jestem przekonany, że pan Reese nie będzie miał wam za złe, jeśli skorzystacie z jego imponujących zapasów. Możecie oddawać się nałogom do woli. Sam skosztuję odrobinę tego falarskiego wina.

Gdy Storkul Czystka spojrzała na szeroką gamę zakazanych substancji, z jej ust wyrwał się cichy jęk.

* * *

Za głównym wejściem ciągnęła się długa, szeroka kolumnada. Pod ścianami po obu stronach umieszczono tam trupy w ustawionych pionowo trumnach. Szkło, z którego wykonano ich pokrywy, zmatowiało już, lecz, niestety, nie do tego stopnia, by ukryć lokatorów. Gdy Emancipor i Invett Wstręt szli szerokim korytarzem, wciśnięty między wąskie, marmurowe kolumny zastęp zdawał się śledzić ich spojrzeniami zapadniętych w głąb czaszek oczu. Na końcu czekały na nich dwuskrzydłowe drzwi.

– To zdrowe zwłoki – wyjaśnił Paladyn Czystości. Jedną ręką nadal podtrzymywał przeważającą część ciężaru ciała lokaja. – Jak widzisz, wszystkie są w znakomitym stanie. Czyste na duchu i zdrowe na ciele. To chwalebne świadectwo korzyści płynących z życia nieskalanego przez ohydne nałogi, stanowiące ongiś przekleństwo naszego ludu.

– Czemu wszystkie mają takie skrzywione twarze? – zainteresował się Emancipor.

– Śmiertelnicy najczęściej przenoszą się na łono Pani wskutek dolegliwości jelita grubego.

– Śmierć z zatwardzenia?

– Nadmiar zdrowotnego zapachu. Wielu obywateli spożywa nadmierne ilości trawy.

– Trawy?

– Nie pamiętasz tego? Nie, oczywiście, jak mógłbyś pamiętać? Zostałeś świętym jeszcze w czasach Necrotusa Nihilistycznego. Trawa jest znakomitym surogatem mięsa. Nasi cyrulicy dokonywali sekcji zwłok najróżniejszego rodzaju. W poprzednim okresie często po otworzeniu żołądka natrafiali w nim na kawały niestrawionego mięsa, które przetrwały w tej postaci w ciele ofiary przez długie lata. To naprawdę przerażające. Teraz oczywiście znajdują tam kłęby trawy. Z pewnością rozumiesz, że to znacznie mniej obrzydliwe znalezisko. W końcu krowy cały czas umierają z tego powodu.

– A teraz nie tylko krowy, lecz również obywatele.

– Zdziwiłbyś się, Pierwszy Święty, jak liczne są podobieństwa między nimi.

Emancipor spojrział na zarumienioną twarz paladyna i dostrzegł w niej wyraz mrocznej satysfakcji.

– Przyjrzyj się przez moment zwłokom – podjął po chwili Invett Wstręt. – O, tym. – Zatrzymali się przed jedną z trumien. – Widzisz, jak czystą mają cerę? Jak wspaniale lśnią włosy? Oto prawdziwe piękno, przyjacielu, oto pomnik najczystszej zdrowia.

– Zgadzam się z tobą w zupełności – rzekł Emancipor, wpatrując się z fascynacją w wykrzywioną w grymasie bólu twarz nieszczęsnej kobiety, widoczną za niebieskozieloną szybą. – Przypuszczam, że jej krewni są bardzo dumni z tego, że znalazła miejsce w pałacu.

– Och, bynajmniej – zaprzeczył Invett Wstręt. – Nawet w najmniejszym stopniu. Kiedy umarła, wszystkich ogarnął obłęd. Nie skłamię, mówiąc, że pragnienie mięsa doprowadziło ich do tego, iż zjedli większą część jej lewej nogi. Tak, to ta owinięta. Dlatego resztę rodziny można znaleźć na szpikulcach.

Emancipor wbił w paladyna przerażony wzrok.

– Co mogło skłonić kochającą rodzinę do takiego kroku?

– Moralna słabość, Pierwszy Święty. To zaraza zawsze gotowa atakować obywateli. Dlatego pierwszym zadaniem Zdrowych Rycerzy jest wykorzenienie tego typu niedoskonałości i zatknięcie jej wysoko na murach. Zapewniam cię też, że mamy obecnie równie wiele roboty, co rok temu. Być może nawet więcej.

– Nic dziwnego, że na ulicach jest tak mało ludzi.

– To gorliwość, Pierwszy Święty. Jej żądaniom nie ma końca, ale potrafimy im sprostać.

Ruszyli przed siebie wielkim jak jaskinia korytarzem.

– Ale to nie dotyczy tej... kobiety, która mnie zatrzymała – zauważył Emancipor.

– Storkul Czystki? Miałem na nią oko już od dłuższego czasu. Czy wiedziałeś, że była kiedyś prostytutką? Przed wprowadzeniem zakazów. Upadłą kobietą dopuszczającą się ohydnych występków, uwodzicielką służącą straszliwemu hedonizmowi, wyjątkowo wielką groźbą dla cywilizacji. Nawróciła się tak nagle, że natychmiast zacząłem ją podejrzewać. Dobrze zrobiliśmy, demaskując jej nieprawość. Dzisiejszej nocy czeka ją sąd.

Emancipor skrzywił się. Nagle zawładnęły nim wyrzuty sumienia.

– Czy nie można jej dać drugiej szansy, paladynie?

– Och, zaiste musisz być świętym, skoro ulegasz takim uczuciom. Niestety, odpowiedź brzmi „nie można”. Idea omylności zrodziła się po to, by uwolnić śmiertelników od odpowiedzialności. Możemy być doskonali, a przykład tego widzisz teraz u swego boku.

– Udało ci się osiągnąć doskonałość?

– Tak jest. A ten, kto podaje tę prawdę w wątpliwość, dowodzi w ten sposób własnej niedoskonałości.

Dotarli do dwuskrzydłowych drzwi. Invett Wstręt wyciągnął rękę do wielkich pierścieni, ale prawe skrzydło otworzyło się gwałtownie, uderzając paladyna w nos. Rozległ się przytłumiony trzask. Mężczyzna zatoczył się do tyłu. Z jego nosa popłynęła krew.

Emancipor pośliznął się na niej, stracił równowagę i runął prosto na oszołomioną służącą, trafiając ją głową w brzuch.

Kobieta wypuściła gwałtownie powietrze z płuc. Gdy Emancipor padł twarzą na podłogę, osunęła się na niego. Wielka miska, którą niosła na głowie, potoczyła się po posadzce, a masa mokrej trawy wielkości mózgu poszybowała w powietrze jak żywe stworzenie i spadła z plaśnięciem na posadzkę. Przypominająca sos miętowy ciecz wylała się na kafelki...

...prosto pod lewy but Invetta Wstręta. Paladyn pośliznął się i runął z głośnym łoskotem na plecy.

Emancipor jęknął, zepchnął z siebie kobietę i przetoczył się na bok. Za sobą słyszał urywane sapanie Invetta Wstręta. Służąca, która do tej pory wytrzeszczała tylko oczy w ataku nagłej paniki, zdołała w końcu zaczerpnąć tchu. Z głębi znajdującej się za drzwiami komnaty uszu Emancipora dobiegł niezwykle mechaniczny dźwięk, powtarzający się w miarowym, obojętnym rytmie. Lokaj usunął mruganiem łzy z oczu, podniósł się na ręce i kolana, a potem spojrział w górę.

Nad komnatą dominowała ogromna, żelazna, pełna kół, przekładni i lin machina. W jej środku było widać jakąś zawieszoną na pasach i wyściełanych kajdanach postać. Unosiła się ona może z jard nad posadzką, nieustannie obracając kończynami. Wyglądało to tak, jakby mężczyzna wspinał się w powietrzu, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Jego długowłosa głowa przetaczała się powoli z boku na bok w rytm ruchu rozmaitych przekładni i wielokrążków.

Mechanizm był tak wielki, że nie sposób było podejść blisko do

zawieszono go w nim człowieka. Król Macrothus – bo któż inny mógłby to być? – był zwrócony plecami do drzwi i nie ulegało wątpliwości, że nie usłyszał dobiegających od nich hałasów. Nie przestawał ćwiczyć, miarowo i bez wytchnienia – człowiek pozostający w bezustannym ruchu.

Invett Wstręt wszedł chwiejnym krokiem do środka. Po twarzy spływała mu sącząca się z nozdrzy krew. Miał złamany nos. Splunął i wbił spojrzenie wypełnionych bólem oczu w służącą, która nadal siedziała na posadzce.

– Ty kurwi pomocie! Zabójczyni cywilizacji! Osądzę cię na miejscu zbrodni!

Król Macrothus nie zwrócił uwagi na ryk paladyna. Unosił rytmicznie ręce i kontrapunktował ich ruchy ruchami nóg. Był przerażająco chudy, lecz mimo to jego skóra wydawała się dziwnie obwisła, jakby utraciła wszelką elastyczność.

Emancipor wstał.

– Paladynie Czystości, to był wypadek!

– Wypadki są oznaką słabości!

Lokaj zauważył, że Invetta Wstręta zaślepiała wściekłość.

– Uważaj co mówisz! – warknął Emancipor.

Potężny mężczyzna zwrócił się nagle w jego stronę. Opadła mu okrwawiona szczeka.

Emancipor wskazał na niego palcem w oskarżycielskim geście, choć serce waliło mu gwałtownie.

– Czy potępiasz wszystkich Świętych Chwalebego Trudu tego miasta, paladynie? Wszystkich bez wyjątku? Czyż nie są oni ofiarami wypadków? Czy śmiesz ją osądzić wbrew woli mojego ludu? Na oczach naszego

umiłowanego króla?

Invett Wstręt cofnął się o krok.

– Z pewnością nie! – Spojrzał nerwowo na monarchę, a potem przeniósł wzrok z powrotem na Emancipora. – Ale to tylko zwykła dziewczka...

– Służy samemu królowi! – przypomniał Emancipor. – Co więcej, została ranna... podczas – dodał pod wpływem nagłej inspiracji – podczas chwalebnego trudu! – Lokaj położył rękę na drżącej głowie kobiety. – Jest teraz świętą!

– Najpierw musi ją taką ogłosić Zdrowy Rycerz – sprzeciwił się paladyn.

– W rzeczy samej. Nie kto inny, jak ty, Invettie Wstręt. Czy król Macrotus ma być świadkiem wahania?

– Nie! Niniejszym zatwierdzam tę kobietę jako Świętą Chwalebnego Trudu.

Emancipor pomógł służącej wstać.

– Uciekaj stąd, dziewczyno – wyszeptał jej do ucha. – Szybko!

Pokłoniła się, zabrała miskę i czmychnęła.

Emancipor wygrzebał z kieszeni chusteczkę i podał ją paladynowi. Invett wytarł twarz, przesuwając chusteczkę w dół i w górę, a potem znowu w dół i w górę. I jeszcze raz w dół i w górę. Wytrzeszczył nagle oczy i pojawił się w nich dziwny błysk. Lokaja powoli ogarnęło przerażenie.

Ta chusteczka... zarodniki maków d'bayang... o kurczę...

– Paladynie, król sprawia wrażenie chwilowo niedysponowanego.

– Jak zawsze – odparł Invett Wstręt dziwnie nerwowym głosem. – Ale to prawda. Jest zbyt zajęty. Ćwiczy. Wciąż ćwiczy. W górę i w dół, w górę i w dół, i w górę, i w dół! Zbyt długo już tu zwlekaliśmy. Letarg jest grzechem. Ruszajmy. – Ponownie uniósł chusteczkę do nosa. – Ćwiczenia. Muszę patrolować ulice. Wszystkie, tak jest, po zmierzchu. Dam sobie radę. Nie wierzysz? Pokażę ci!

Paladyn wybiegł z komnaty.

Emancipor został sam.

Z królem Macrotusem. Który cały czas ćwiczył.

* * *

– To ubranie jest za ciasne – poskarżył się Ineb Kaszel.

– Trochę się powiększyłeś – zauważył Bauchelain. – Proszę, napij się jeszcze odrobinę wina, przyjacielu.

– Dziękuję, z chęcią. Ale ten strój mnie krępuje.

Storkul Czystka spacerowała obok nich, tocząc wojnę z samą sobą. Ineb czuł się rozczarowany tym, że kobieta nadal opiera się rozkosznemu wabikowi wszystkich tych cudownych substancji. Demon pociągnął kolejny łyk z butelki i przysunął się do Bauchelaina.

– Czarodzieju – wyszeptał z uśmiechem. – Och, tak, wiem, kim jesteście. Ty i ta wrona, która nad nami krąży. Jesteście nekromantami! Powiedz mi, co was tu sprowadza?

Bauchelain zerknął na Zdrową Rycerkę, a potem wbił spojrzenie w demona. Pogłaskał się po brodzie.

– Ach, to tajemnica, nieprawdaż?

– Ten lokaj, o którym wspominałeś. Jest teraz w mieście, prawda? Ma kupić zapasy na drogę? Być może, ale podejrzewam, że chodzi o coś

więcej. – Ineb znowu się uśmiechnął. – Potrafię wywęszyć spisek, tak jest.

– Naprawdę? Powiedz mi, gdzie są twoi towarzysze, inne demony?

– Pewnie w jakimś zaułku. Poza Starrą Znowu. Ona zniknęła.

– Starra Znowu?

– Demonica Pożądliwości.

– Zniknęła? A kiedy, Inebie Kaszel?

– Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy nastąpił nagły zgon Necrotusa.

– A jak długo po koronacji Macrota ogłosił wprowadzenie zakazów?

– To ubranie mnie dusi!

Bauchelain wyciągnął rękę.

– Pozwól mi rozpiąć guziki. Och, widzę, że są tylko na pokaz. Czy mamy rozciąć ten strój?

– Nie. Lepszy będzie następny łyk. Tak jest. Znakomicie. Zakazów? Po jakimś tygodniu. W tym czasie wszystko dobrze przygotował. Podniósł kult Pani Błogosławieństw do rangi oficjalnej religii. Jeśli się nad tym zastanowić, ten akt zapowiadał wszystko, co wydarzyło się później. Zorganizował nową armię pobożności, która miała prawo czuwać nad zachowaniem wszystkich obywateli Dziwa. Na Otchłań, powinniśmy byli to przewidzieć! – Ineb szarpnął za kołnierz, ponownie zerknął ukradkiem na Storkul Czystkę i przysunął się jeszcze bliżej do czarodzieja. – Coś zaplanowaliście, tak? Co? Powiedz mi!

– Zastanawiałem się nad wytoczeniem z twojej towarzyszki pewnej ilości krwi.

Demon popatrzył na czarodzieja, a potem oblizał wargi.

– Och. A... a jakiej ilości?

Bauchelain wziął butelkę ze spermacetem i przyjrzał się jej zawartości.

– To zależy od jej czystości.

– Ach, rozumiem. Musi być czysta. Myślę, Bauchelain, że jej krew z pewnością jest bardzo czysta. Biorąc pod uwagę ten fakt... czy mówimy o śmiertelnym upuście?

Czarodziej uniósł brwi. Przysunął butelkę do oczu i przyjrzał się gęstemu osadowi nad dnem. Potem nią potrząsnął.

– Niestety, trudno to ocenić. Och, spójrz, one jeszcze żyją. Jak to możliwe? Nie jestem już przekonany, że ta sperma pochodzi od wieloryba. Och nie, bynajmniej. To ciekawe.

– Czy miałeś zamiar poprosić ją o tę krew?

Na ascetycznej twarzy czarodzieja pojawił się wyraz zaskoczenia.

– Poprosić? Przyznaję, że nie przyszło mi to do głowy.

– A co zamierzasz z nią zrobić? – zapytał Ineb. Demon podniósł się i zamarł w pozycji kucznej, nisko zgarbiony.

– Ja? Nic. Mój towarzysz podróży chce ją wykorzystać w rytuale wskrzeszenia.

Demon spojrział na niebo, wypatrując wrony. Chwilowo nigdzie jej nie było. Ineb przesunął się nerwowo.

– Wskrzeszenia. Oczywiście, dlaczego na to nie wpadłem? Potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Nie mogłem na to wpaść, bo nie powiedzieliście mi, co planujecie.

– Zapewniam, że to nie będzie nic dramatycznego. Chodzi o obalenie króla Macrotusa. Postaramy się zachować przy życiu możliwie jak

największą część ludności miasta.

– Chcecie zdobyć tron Dziwa?

– Dla siebie? Bynajmniej. Co byśmy z nim zrobili? Nie, możesz to uznać za przysługę.

– Przysługę?

– No dobrze, zapłacono nam za to, żebyśmy szybko położyli kres temu śmiercionośnemu trendowi ku zdrowemu życiu. Choć, prawdę mówiąc, nie zależy mi szczególnie na materialnym bogactwie. Intryguje mnie raczej wiążące się z tym wyzwanie.

Bauchelain wyprostował się i spojrzał na Storkul Czystkę. Potem wyciągnął nóż.

* * *

Do tej pory Imid Factallo nie osiągnął w życiu zbyt wiele. Tak przynajmniej sam to oceniał. Nie miał żony ani dzieci i nie należał do mężczyzn, za którymi uganiają się kobiety, chyba żeby coś im ukradł. Dobrze poznał samotność. W gruncie rzeczy była ona jego starą przyjaciółką. Choć, jeśli ktoś miał przyjaciółkę, nie można go już było zwać samotnym. Zastanowiwszy się nad tym problemem, Imid musiał przyznać, że samotność nie jest jednak jego przyjaciółką. Gdyby miał jakiegokolwiek przyjaciela, mógłby przedyskutować z nim swe myśli. Po to właśnie miało się przyjaciół. Taka rozmowa z pewnością byłaby ekscytująca.

Siedział na schodach swego skromnego, samotnego domostwa, obserwując zdeorientowaną wiewiórkę, która miotła się u podstawy drzewa. Zwierzątko już od wielu tygodni magazynowało tam różne rzeczy z myślą o nadchodzącej zimie. To dziwne, ale wydawało się, że tego rodzaju gryzonie nie lubią towarzystwa. Wolały samotność. Oto do czego prowadzi żywienie się orzechami i nasionami, pomyślał przygnębiony mężczyzna.

Dezorientacja zwierzątka nie miała dostrzegalnych przyczyn, co sugerowało Imidowi, że źródłem kłopotów wiewiórki jest nagłe podniecenie zrodzone w jej małym mózgu. Być może stworzonko przeżywało etyczny kryzys, pod wpływem którego skakało na wszystkie strony i skrzeczało ze złością.

Wszystko to wina tego cholernego lokaja, powtarzał sobie Imid. Grzane wino, rdzawy liść i durhang, prawdziwy róg obfitości zakazanych substancji. Spokojna pewność siebie, z jaką konsumował je Emancipor, zaparła Imidowi dech w piersiach. Lokaj zachował się okrutnie jak wiewiórka. Zamieszał Świętemu Chwalebnego Trudu w głowie, a nawet gorzej... skłonił go do myśli o przemocy.

Nagle do świadomości świętego dotarł zgiełk dobiegający od strony Wielkiej Świątyni Pani. To był tłum. Imid usłyszał odległe krzyki.

Nagle zauważył, że wiewiórka zamarła w bezruchu, unosząc łebek. Potem zwierzątko uciekło.

Zgiełk stawał się coraz głośniejszy.

Święty pochylił się lekko, spoglądając wzdłuż ulicy.

Dobiegły go kolejne krzyki, stukot tłuczonych garnków, a potem głośny łoskot. Zobaczył tłum ludzi wypełniający przestrzeń między budynkami. Tłuszcza zmierzała w jego stronę.

Zaniepokojony Imid Factallo wstał.

Było tam ze stu obywateli, może więcej. Ich twarze wykrzywiały się w grymasie panicznego strachu. Byli wśród nich Święci Chwalebnego Trudu. I godni. I mniszki... co tu się dzieje?

Tłum przemknął obok Imida, przepychając się brutalnie i depcząc tych, którzy upadli. Pod ganek potoczyło się płaczące niemowlę, które zatrzymało się u stóp Imida. Ten podniósł je na chwilę przed tym, nim but godnego uderzył w chodnik w tym miejscu. Święty cofnął się chwiejnie,

opierając się plecami o drzwi i czekając, aż tłum go minie.

Za ludzką masą podążał Paladyn Czystości. Invett Wstręt wyciągnął miecz i wymachiwał nim nad głową. Stał błyszcząca w blasku słońca. Paladyn maszerował dziarskim krokiem, jakby prowadził paradę. Albo zaganiał owce.

– Słabeusze! – ryczał. – Uciekajcie, wy plugawe śmieci! Osądzam was wszystkich! Widziałem wasze twarze! Czuję woń waszych ohydnych oddechów! Wszyscy jesteście nieczysti! Nikt z was nie umknie przed moim sądem!

Wtem Invett zauważył Imida. Święty stał na ganku, trzymając na rękach dziecko, które nagle umilkło. Wstręt wskazał na niego mieczem.

– Jesteś świadkiem!

Imid wytrzeszczył oczy. Niemowlę również. Podobnie jak wiewiórka, która przycupnęła na dachu nad głową świętego.

W drugiej dłoni paladyn trzymał chusteczkę, którą ścierał sobie krew z twarzy. Jego oczy błyszcząły przeraźliwie.

– Ujawnijcie się, świadkowie! Bo inaczej podzielicie los nieczystych!

– Jesteśmy świadkami! – pisnął Imid. Niemowlę rozsądnie poparło go gaworzeniem.

Paladyn Czystości ruszył w dalszą drogę z triumfalnym wyrazem twarzy, gnając przed sobą swą trzodę.

W pobliżu Wielkiej Świątyni coś się paliło. Na niebie kłębiły się ciemne, niemal czarne, obłoki dymu.

Za Invettem Wstrętem podążała jakaś postać. Imid ze zdumieniem zauważył, że to Elas Sil. Kobieta podeszła do niego ukradkiem.

– Elas Sil!

– Cicho, ty durniu! Widziałeś go? On oszalał! – Zamilkła na chwilę. – To nie twoje dziecko!

– Nigdy nie twierdziłem, że moje.

– To dlaczego je trzymasz? Nie wiesz, jakie to niebezpieczne? Może się wypróżnić, może zapłakać albo, co gorsza, zacząć się wyrywać!

– Ktoś je upuścił.

– Na główkę? – Podeszła bliżej i przyjrzała się niemowlęciu. – Ten ślad. Czy to siniak?

– Możliwe...

– Na Panią, czy ono jest świętym? Imid, odkryłeś najmłodszego Świętego Chwalebego Trudu!

– Jak to? To tylko niemowlę...

– To święty!

– Jakiego trudu? Niemowlęta nie pracują! Chyba postradałaś zmysły, Elas Sil.

– Popatrz na jego buzię, durniu! Właśnie pracuje!

Coś ciepłego musnęło z młasińcem brzuch Imida. Potem poczuł smród.

* * *

Tymczasem tłum osądzonych nie przestawał rosnąć. Było ich już czterystu dwudziestu sześciu i wszyscy gnali w panicznej ucieczce Aleją Zielonego Języka. Tłuszczka wlewała się w zaułki i boczne ulice po obu stronach alei niczym nieczystości wyciekające z rynsztoka.

Poganiacz, który prowadził do bydłęcego kupca trzydzieści wołów,

stracił panowanie nad przerażonymi zwierzętami. Po chwili oszalałe woły wpadły prosto na ciężko obładowane wozy stojące w korku ulicznym tuż pod Pomnikiem Spalenizny – solidną, antyczną, dwudziestopiętrową konstrukcją z cegieł. Jej pochodzenie było niejasne, a znaczenie nieznanne.

Wozy przewoziły pojemniki z zagęszczoną naftą, wyciekającą przez cały dzień i pokrywającą nasiąknięte drewno błyszczącą patyną. Akurat przechodził tamtędy Arto Sławny Połykacz Ognia, z którego sławy zostały już jedynie żałosne popioły. Zdążył tylko się odwrócić i zobaczyć woły pędzące w jego stronę z szaleństwem w oczach. Potem uderzył go potężny rogaty łeb. Arto poleciał w tył, a garnek z węgielkami, który niósł na prawym ramieniu, zakręcił się gwałtownie, sypiąc wokół skrami.

Wybuch usłyszeli wszyscy obywatele Dziwa. Nawet rybacy w zatoce, zajęci wyrzucaniem ze swych sieci ryb o czterech płetwach, zdążyli unieść głowy na czas, by zobaczyć mknącą ku niebu kulę ognia oraz co najmniej trzy woły koziółkujące wysoko nad miastem. Potem Pomnik Spalenizny zniknął im z oczu, a płomień nadały obłokom pyłu jaskrawopomarańczowy kolor.

* * *

Bauchelain stał powoli wyblakłą szmatką krew z noża. Zerknął przelotnie na Ineba Kaszla, a potem przeniósł wzrok na zachód, ku słońcu, które wpełzało już do swej nocnej jaskini. Zamarł w tej pozie jak postać na jakimś heroicznym arrasie.

Demon leżał na plecach, unieruchomiony przez strój marionetki.

– No dobra – warknął Ineb. – Rozetnij to. Tylko ostrożnie!

– Nie musisz się obawiać, demonie – uspokoił go Bauchelain. Przykucnął obok i wyciągnął dłoń ze sztyletem. – Ale jeśli nie przestaniesz się wiercić...

– Nie będę się ruszał! Obiecuję!

Krótki łopot skrzydeł oznajmił, że wróciła wrona. Ineb poczuł nagle ostrą woń stęchlizny. Potem obok Bauchelaina pojawił się drugi mężczyzna. Był potężnie zbudowany i łysy, a jego skóra miała odcień żółtka jajka ugotowanego na twardo. Zapewne była też wilgotna w dotyku. Małe, pozbawione wyrazu oczka popatrzyły na demona z zimną ciekawością.

Ineb spróbował się uśmiechnąć.

– Wiem co sobie myślisz – rzekł. – Ale się mylisz. Nie jestem homunkulusem. Ani nawet golemem. Jestem prawdziwym demonem.

Mężczyzna oblizał obwisłe wargi.

Ineb umilkł. Nagle zaschło mu w ustach.

Sztych sztyletu wsunął się pod kurtkę demona tuż nad jego wydatnym brzuchem i zaczął się przesuwać ku górze.

Bauchelain wyciągnął drugą rękę i podał towarzyszowi zakrwawioną chustkę.

– Słońce zaszło, Korbalu Broach – oznajmił.

Rozległ się cichy trzask i materiał puścił. Czarodziej zabrał się za rękawy.

Korbal Broach uniósł chustkę do twarzy. Zaczepnął głęboko tchu, uśmiechnął się, odwrócił i nieco oddalił. Potem rzucił chustkę na ziemię, wykonał prawą ręką kilka gestów, spojrział na Bauchelaina i skinął głową.

– A co z nieczystymi, Korbalu Broach?

Pucołowata twarz drugiego czarodzieja wykrzywiła się w wyrazie rozczarowania, niemal oburzenia.

– Ach, oczywiście – wyszeptał Bauchelain. – Wybacz, przyjacielu.

Po trzech kolejnych cięciach ubranie spadło z Ineba. Demon wyprostował się i z dziką radością zaczerpnął głęboki haust powietrza.

– Znakomicie! Tak jest znacznie lepiej. Czuję się jak nowy demon.

Storkul Czystka podeszła do nich chwiejnym krokiem.

– Krwawię – poskarżyła się wysokim, drżącym głosem.

Ineb uśmiechnął się do niej szyderczo.

– Przecież skaleczył cię w palec, kobieto!

– Chyba zemdleję.

Bauchelain schował sztylet do pochwy.

– Usiądź, proszę, panno Czystko. Ineb, nalej niezdrowej rycerce trochę wina.

* * *

Imid Factallo uciekał ulicą, czując w nozdrzach smród zapaskudzonej bluzy. Elas Sil biegła u jego boku. Niemowlę wierciło się w ramionach Imida, ale miało zadowoloną minę.

Za ich plecami długodystansowiec, który właśnie wrócił z długiej na prawie dwadzieścia mil przebieżki za miasto i – co zrozumiałe – był lekko oszołomiony, wbiegł prosto do płonącego budynku i już z niego nie wyszedł. Spanikowane zwierzęta i przerażeni obywatele pierzchali na wszystkie strony pośród dymu, iskier i popiołów. Zapalacze latarni nie wyszli dziś na ulice i tylko szalejące wszędzie pożary rozpraszały gęstniejącą ciemność.

– Tędy! – zawołała Elas, pociągając Imida za ramię. Wpadli do wąskiego, krętego zaułka.

– Nie róbcie nam krzywdy! – rozległ się przed nimi piskliwy głosik.

Zatrzymali się i rozejrzeli wokół w półmroku.

– Zostawcie nas!

Imid Factallo ruszył ostrożnie naprzód i wypatrzył dwie postacie leżące wśród śmieci dwa kroki przed nim. Były absurdalnie małe. Po lewej leżał mężczyzna. Jego skórę pokrywała masa zmarszczek, nadając mu wygląd złotej figi. Druga istotka, pomimo miniaturowych rozmiarów, miała kształty dorosłej kobiety, zupełnie jakby jakiś zбочony wynalazca skonstruował piersiastą, długonogą lalkę, by móc realizować za jej pomocą swe chore fantazje.

– Na Mosty nad Otchłanią – wyszeptała Elas Sil. – Kim oni są?

– Jestem Otyłość – wyjaśniła pomarszczona istotka. – Liczni przyjaciele znają mnie jako Nauseo Niechluja. A moja towarzyszka to Lenistwo. Nazywa się Senker Później. Czyżbym czuł jakiś zapach? Woń czegoś... nadciągającego? Ożywiającego? Och, z pewnością? Ty też to czujesz, Senker?

– Nie chce mi się wachać.

– Ach, prawda! Znudzenie powraca... z opóźnieniem.

– Dziecko zrobiło kupkę – wyjaśnił Imid Factallo.

– Nie mówię o tym. To coś innego. Coś... cudownego.

Wtem na ulicy rozległy się krzyki.

– Co to było? – zapytał Nauseo.

Elas Sil znowu złapała Imida za ramię.

– Chodźmy stąd.

Okrążyli parę demonów.

– Dokąd? – zapytał Imid.

– Do Wielkiej Świątyni. Oddamy dziecko mniszkom.

– Świetny pomysł. One będą wiedziały, co z nim zrobić.

Kiedy oboje odeszli, Nauseo Niechluj podczołgał się do Demonicy Lenistwa.

– Wiesz co? Poczułem się lepiej. Lepiej. To niezwykle. Do Dziwa nadchodzą zmiany.

Krzyki zbliżały się coraz bardziej.

– Powinniśmy stąd uciekać – zauważyła Senker.

– Uciekać? A po co?

– Masz rację. Po co się męczyć?

* * *

Emancipor Reese opuścił salę tronową. Szczerze mówiąc, raczej nie zasługiwała na tę nazwę, chyba żeby za tron uznać wypełniający niemal całe pomieszczenie żelazny mechanizm złożony z przekładni i krążków linowych.

Ale z drugiej strony, czemu by nie? Czyż aparat państwowy nie składał się z balansów, ciężarów i przeciwcieżarów? Z całą pewnością się składał. W sensie metaforycznym. A w jego sercu zasiadał król, obciążony dziedzicznymi prawami do tronu i zawieszony w strukturze opartej na złudnym pojęciu hierarchicznej wyższości. Jakby nierówność można było usprawiedliwić tradycją, a kryjące się za nią założenia były oczywiste i w związku z tym niepodważalne. A czy fanatyczna zdrowotna pasja nie stanowiła identycznego urojenia wyższości, tym razem opartego na moralnych przekonaniach? Jakby wigor był tożsamy z cnotą.

Gdy Emancipor szedł szeroką, długą kolumnadą, przez jego głowę

przemknęła myśl, że, niestety, nieodłączną częścią podłej natury człowieka jest tworzenie skomplikowanych systemów wierzeń mających wspierać jego wysokie mniemanie o sobie. A także trzymać w ryzach tych, którzy są mniej zarozumiali. Niezliczone sztylety przystawione do gardeł innych...

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk pękającego szkła. Spod obu ścian korytarza posypały się błyszczące odłamki. Niezwykle, upiorne postacie – zdrowe zwłoki – wyłaziły ze swych ustawionych pionowo trumien, wyciągając rozpaczliwie ręce. Z wyschniętych, martwych gardeł wydobywały się straszliwe jęki. Usta rozdziawiały się szeroko. W miarę, jak umarli uwalniali się ze swych więzień, ich krzyki stawały się coraz głośniejsze i bardziej rozpaczliwe.

Emancipor Reese jęknął i wybałuszył oczy.

– Korbal Broach... – mruknął.

Jakiś zataczający się trup przeciął mu drogę. Wydawało się, że wbił w Emancipora spojrzenie wyschniętych oczu. Był lepiej zachowany niż większość pozostałych, a z jego obwisłych policzków skapywały jakieś płyny. Przez chwilę poruszał szczęką z głośnym skrzypieniem, aż wreszcie oznajmił:

– Wszystko to kłamstwo!

– Co jest kłamstwem?

– Wszyscy idziemy w to samo miejsce. Zdrowi, chorzy, mordercy, święci! W to samo okropne miejsce. Tłoczne, tak bardzo tłoczne!

Emancipor dawno już się przekonał, że umarli rzadko mają do powiedzenia coś dobrego. Ale z drugiej strony, każdy z nich mówił co innego. Lokaj musiał przyznać, że rośnie w nim fascynacja niezliczonymi prywatnymi koszmarami, do których wstępem jest śmierć.

– A jak wygląda to tłoczne miejsce? – zapytał.

– To ogromny rynek – wyjaśnił nieboszczyk, chwytając palcami pustkę. – Jest tam mnóstwo jedzenia. Skarbów. Mnóstwo... różnych rzeczy!

– Hmm, to nie brzmi tak źle.

– Ale ja nie mam pieniędzy! – wrzasnął ochryple trup. Potem zaczął szarpać pazurami twarz i oddalił się chwiejnym krokiem, jęcząc: – Nie mam pieniędzy. Nie mam pieniędzy. Nie mam pieniędzy. Wszyscy mają pieniądze. Nawet mordercy! Dlaczego ja ich nie mam? Och, dlaczegoooo?!

Emancipor śledził go wzrokiem.

Obok przeszła martwa kobieta, która co chwila schylała się i podnosiła z posadzki niewidzialne przedmioty.

– To nie jest moje! – zawodziła. – I to też! Och, gdzie jest moje dziecko? Czyje to dzieci? Och! Och! – Szła wciąż przed siebie, podnosząc i odrzucając na bok kolejne niewidzialne dzieci. – Są takie brzydkie! Skąd się wzięło tyle brzydkich dzieci!

Kolumnada była wypełniona wałęsającymi się bez celu trupami, ale ich tłum stopniowo, niemal przypadkowo, przesuwał się w stronę wyjścia. Emancipor podejrzewał, że wkrótce zaczną szukać żyjących bliskich, jako że to właśnie z reguły robiły martwiaki, jeśli tylko miały szansę. Pragnęły przekazać im ostatnie słowa żalu, wygłosić złośliwe oskarżenia albo poużalać się płacziwie. Na ogół były żałosne i z rzadka tylko przejawiały mordercze pragnienia. Mimo to Emancipor był przekonany, że o tej nocy niewielu w Dziwie będzie mogło zapomnieć.

* * *

– Na Otchłań na dole – wyszeptał Imid Factallo. – Ten człowiek wygląda naprawdę niezdrowo.

Przykucnąwszy w cieniach obok niego, Elas Sil chrząknęła cicho.

– To dlatego że nie żyje, ty idioto! – wysyczała.

Powłócząca kikutowatymi nogami postać posuwała się zygzakiem przez plac przed oficjalnym wejściem do Wielkiej Świątyni. Pełno na nim było śmieci i złowrogo wyglądających kałuż, ale poza samotnym martwiakiem nie widziało się tu nikogo. Gdzieś za potężną bryłą świątyni płonęły jakieś budynki. Ku nocnemu niebu wzbijały się kłęby podświetlonego płomieniami dymu. Ze wszystkich stron, z każdej ulicy i zaułka, z czynszowych kamienic i rezydencji bogaczy dobiegały ich krzyki przerażenia.

– Co się stało? – zapytał drżącym głosem Imid.

– Spróbuj zrobić użytek z tego swojego zdrowego mózgu, durniu – warknęła Elas. – To nasza wina. Twoja i moja, Imidzie Factallo.

Zamrugął, a potem zwrócił się w jej stronę, spoglądając nerwowo na boki.

– Przecież wszyscy święci podjęli tę decyzję! Wszyscy! My tylko przekazaliśmy pieniądze! – Spojrzał na powłóczącego nogami trupa. – Nic nie wspominali o, hmm, wskrzeszaniu umarłych!

– To nekromanci!

– Ale jak to ma nam pomóc uwolnić się od Macrotusa?

– Cisza! Oszalałeś? Ani słowa o tym!

Imid Factallo popatrzył na śpiące w jego ramionach niemowlę.

– Na Panią – wyszeptał. – Co my zrobiliśmy? Jakie życie czeka teraz to dziecko?

– Och, uspokój się – burknęła Elas Sil. – Te trupy z czasem się rozpadną. Wtedy pozbieramy fragmenty... i gdzieś je pochowamy.

– Myślisz, że wszyscy, którzy umarli...? – zapytał Imid. Z jakiegoś

powodu zapało mu dech w piersiach.

Elas Sil zerknęła na niego z ukosa.

– Ma się parę tajemnic do ukrycia, co?

– Nie! Nic w tym rodzaju. Ale, hmm, moja matka... to znaczy, bardzo ją kochałem, oczywiście. Ale...

– Nie zachwyca cię myśl, że mógłbyś ją ujrzeć znowu? – Elas wyszczerzyła zęby w wyjątkowo złośliwym uśmiechu, a potem prychnęła pogardliwie. – Wydaje ci się, że masz problemy? Ja zepchnęłam męża ze schodów.

Imid wytrzeszczył oczy.

Parsknęła głośnym śmiechem.

– Czyż nie świetni z nas święci?

Popatrzył na plac.

– Myślisz... myślisz, że on tam jest?

– A czemu miałoby go nie być?

– Dlaczego go zabiłaś?

– Lał na stojąco.

– Słucham?

Przeszyła go wściekłym spojrzeniem.

– W ten sposób się brudzi, tak? A ja mu dzień w dzień powtarzałam, żeby wycierał potem brzeg zsyphu. Ale czy to robił? Nigdy! Ani razu! No i w końcu miałam tego dość! Dlaczego tak na mnie patrzysz? To było jak najbardziej usprawiedliwione zabójstwo. Po zastanowieniu można je nawet

nazwać zabójstwem z litości. Wyobraź sobie życie mężczyzny, który nie potrafił celować! Ile upokorzeń musiało go spotkać!

– Chodziło o to, że nie lał prosto, czy że potem nie wycierał?

– Przygotowałam wiele usprawiedliwień, wszystkie równie przekonujące. Na wypadek, gdyby straż zaczęła coś podejrzewać. Ale strażników to nie interesowało. W końcu ich przekupiłam. To było za Necrotusa, oczywiście.

– Oczywiście.

– Spójrz, droga wolna. Ruszajmy.

Wyszli z ukrycia i wybiegli na plac.

* * *

Ineb Kaszel przesłakiwał z nogi na nogę, spoglądając na pożar, którego blask podświetlał unoszącą się nad miastem chmurę dymu. Zerknął na Bauchelaina.

– Wyczuwam tam głód. Pragnienie... pofolgowania sobie!

Czarodziej skinął głową. Ręce miał złożone na piersiach.

– To na pewno będą niezdrowe zwłoki.

Storkul Czystka uniosła wzrok, nagle zaciekawiona.

– Ale w Dziwie nie ma alkoholu! Ani kropelki! Ani rdzawego liścia i durhangu! Nie ma kurew ani przybytków hazardu!

Bauchelain uśmiechnął się półgębkiem.

– Moja droga rycerko, twoja naiwność jest doprawdy czarująca. Zastanawiam się, ile desek wyrywa się w tej chwili z podłóg? Ile od dawna zamkniętych drzwi piwnic otwiera się z cichym skrzypieniem? A kiedy

żywi zobaczą wszystkie te skrzętnie zakamuflowane zapasy, które odkryli ich umarli goście, no cóż, wówczas nawet święci, tacy jak ty, potrafiały wyciągnąć właściwe wnioski.

Ineb Kaszel podskoczył radośnie i przykucnął obok Storkul Czystki.

– Chcesz jeszcze wina? – zapytał.

Uniosła kubek i Występek nalał jej trunku, uważając, by nie rozlać ani kropelki, mimo że czuł coraz silniejsze pragnienie powrotu do Dziwa. Na ulicach miasta z pewnością już zapanowało – albo wkrótce zapanuje – niczym nieskrępowane szaleństwo. Napełniwszy kubek, oddalił się pośpiesznie od kobiety. Zauważył, że Korbala Broacha nigdzie nie widać, a Bauchelain poprawia płaszcz i sprawdza, czy ma czyste buty.

– Wybierasz się gdzieś, błogosławiony czarodzieju? – zapytał Ineb.

Mężczyzna popatrzył na niego przez chwilę, a potem skinął głową.

– Och, tak. Pora już odwiedzić tve umiłowane miasto.

Ineb aż podskoczył z radości.

– Znakomicie! Och, ależ będzie feta! Wszyscy na nią przyjdą, żywi i umarli!

– Korbala Broach wykonał zadanie – wyszeptał Bauchelain. – Teraz pora na mnie...

Ineb Kaszel skoczył ku niemu. Nie chciał, żeby go to ominęło.

Storkul Czystka podniosła się chwiejnie.

– Do burdelu Hurli. Na pewno znowu otworzy podwoje. Hurla nie żyje, ale to nie powinno mieć znaczenia. Zbyt wielkiego. Jej klienci i tak nie zauważą różnicy. Mój pokój nadal tam jest. Będą na mnie czekali. Spieszmy się!

Emancipor doszedł do wniosku, że warstewka cywilizacji jest bardzo cienka i łatwo ją usunąć, odsłaniając ukrytą pod spodem nieprawość, która czeka, jak podobne rzeczy mają w zwyczaju, na najmniejszy sygnał zaburzeń.

Widok szerzącej się w mieście anarchii wywierał imponujące wrażenie.

Na wielkim placu przed świątynią roilo się od ludzi. Większość z nich była martwa i osiągnęła przerażający stan daleko posuniętego rozkładu. Nie przeszkadzało im to jednak zbytnio. Trupy łąziły po placu chwiejnym krokiem, potrzasały zakurzonymi butelkami trzymanymi w kościstych dłoniach, a po nogach ciekły im płyny. Jakaś kobieta leżała na pałacowych schodach, pałac durhang w fajce wodnej. Dym wydostawał się na zewnątrz przez liczne dziury w gnijącej klatce piersiowej. Dawno już zmarła prostytutka ściagała w tłumie aż nazbyt żywego mężczyznę, domagając się zalegającej zapłaty za jakąś transakcję z przeszłości. W powietrzu niosły się wyrażające wyrzuty sumienia krzyki jakiegoś nieszczęśnika.

Obywatele bili się z umarłymi krewnymi o różne nielegalne substancje. W takich przypadkach trupom zwykle powodziło się gorzej, jako że żywi mogli urywać im ramiona i łamać kruche golenie. Emancipor uważał, że to okrucieństwo traktować w ten sposób krewnych, nawet jeśli na to zasłużyli. Jednakże hamulce trzymające w ryzach najrozmaitszego rodzaju pożądanie puściły nagle i wojna, do której doszło, była w pełni zrozumiała.

Stojący na szczycie pałacowych schodów lokaj dziwił się jednak temu, że wszystko to wydarzyło się tak raptownie. Wskreszenie zmarłych, zdrowych i niezdrowych, nie powinno doprowadzić do tak gwałtownej eksplozji hedonizmu. Czyżby Bauchelain dosypał do garnka jeszcze jakiejś przyprawy? To wydawało się prawdopodobne.

Pożar ogarnął kolejne budynki. W powietrzu unosiła się gorzka woń dymu i popiołów. Emancipor zastanawiał się co ma teraz zrobić. W końcu usiadł na szorstkim kamieniu, by przyglądać się w oszołomieniu trwającej na placu makabrycznej fecie.

* * *

Ineb Kaszel, Bauchelain i Storkul Czystka stali na trakcie pod miejską bramą, spoglądając na szereg nadzianych na szpikulce postaci. Wszystkie ożyły, ale metalowe pręty unieruchomiły je na murze. Trupy wymachiwały rozpaczliwie nogami, uderzając piętami o poobtłukiwane kamienie.

– Widziałem kiedyś, w dalekiej krainie, taniec, który wyglądał bardzo podobnie – odezwał się Bauchelain.

– Czy tamci tancerze też byli przybici do muru? – zainteresował się Ineb.

– Nie, ale równie dobrze mogliby być. Mój lokaj zapewne powiedziałby, że tak byłoby lepiej.

Ineb popatrzył na szereg wierzgających postaci. Niektóre z nich wspierały ręce na biodrach.

– Rozumiem jego punkt widzenia – stwierdził demon.

– No cóż – powiedział Bauchelain, westchnąwszy – przy bramie nie widać strażników, co sugeruje, że nikt nam nie przeszkodzi w wejściu do miasta. – Nekromanta ruszył w kierunku zaśmieconego wejścia, lecz nagle się zatrzymał. – Najpierw muszę spełnić obietnicę. – Ponownie spojrzął na mur. – Ach, tam jest.

Skinął dłonią i Ineb Kaszel zobaczył, że jeden z tańczących trupów uwolnił się ze szpikulca, a potem opadł łagodnie na ziemię. Nie przestawał wymachiwać nogami, a dłonie wciąż miał wsparte na biodrach.

Zwłoki otworzyły szeroko usta.

– Nie mogę przestać! – zawołały. – Ach, pomóżcie mi przerwać ten piekielny taniec!

Demon przyglądał się ze zdumieniem, jak to, co było kiedyś królem

Necrotusem, opadło w końcu na trakt, natychmiast pomknęło tanecznym krokiem w bok i wpadło do rowu. Rozległ się łoskot, trup zamachał kończynami, a potem z dołu wyłoniła się martwa głowa, kołysząca się na chudej szyi.

– Mój drogi królu – odezwał się Bauchelain – jesteś wolny i zapraszam cię, byś przyłączył się do naszej kompanii. Ruszamy do Dziwa.

Zwłoki wyprostowały się chwiejnie.

– Znakomicie! Tak jest! Chcę dostać głowę tego skurczybyka! Chcę ją oderwać od ciała, podrzucić w górę i wykopać na ulicę. Och, chodźmy odwiedzić mojego kochanego brata. Szybko!

– Wygląda na to – mówił Bauchelain, prowadząc swych towarzyszy przez bramę – że w twoim mieście znaczna część tkaniny wzorców zachowania wystrzępiła się, królu Necrotusie. Nie, wręcz rozerwała się na strzępy, i nic z tego nie jest moją winą. Z radością witam ten dowód na prawdziwość bliskich mojemu sercu przekonań.

– O czym ty gadasz? – zapytała pijackim głosem Storkul Czystka.

– O tym, pozwól, że posłużę się metaforą, że pobożność jest tylko cieniutką warstewką, którą uczyniono nieprzezroczystą, by mogła ukryć prawdziwą naturę naszego rodzaju. Mimo to jest ona krucha i łamliwa.

– Kogo to obchodzi? – obruszył się Necrotus. – Chcę tylko odzyskać tron!

– Ach, ale czy obywatele twojego miasta zaakceptują rządy króla martwiaka?

– Bez trudu akceptowali rządy bezmózgich degeneratów zrodzonych z pokoleń kazirodztwa, czarodzieju – wychrypiął ze złością Necrotus. – Czemu miałbym być gorszy?

– To prawda, że prosty lud uwielbia skandale w królewskich rodzinach

– przyznał Bauchelain. – Zapewne jest to jakiś argument.

Przystanęli tuż za bramą. Wszyscy obywatele wylegli dziś na ulice – ci, którzy oddychali, i ci, którzy już tego nie robili; zarówno dziarscy i pełni wigoru, jak i rozkładający się i rozpadający na kawałki. Słysząc było ochryple okrzyki, urywane, dźwięczne wrzaski i szalony śmiech, a także stukot towarzyszący tłuczeniu pustych butelek. Ogień buchał pod nocne niebo, kłęby dymu przesłaniały gwiazdy. Przed oczyma Ineba Kaszla rozgrywały się najprzeróżniejsze dramaty.

Martwy malarz ścigał właściciela galerii, domagając się zapłaty głosem tak żalonym i skomlącym, że demon miał ochotę zabić go po raz drugi. Co prawda, w niczym by to nie pomogło, ale przynajmniej sprawiłoby Inebowi odrobinę satysfakcji. Już chciał rzucić się w pogoń za dwoma mężczyznami, ale zniknęli mu z oczu w bocznej ulicy. Tymczasem pojawił się tłum omszałych dzieci, które z pewnością wylazły z tajnego cmentarzyka na czymś podwórku i zdążyły już odszukać swego zabójcę. Maszerowały teraz przed siebie, śpiewając fałszywie i wymachując trofeami w postaci kończyn winowajcy. Uwagę Ineba przyciągnął osobliwy szczegół. Rozerwany na strzępy morderca musiał być naprawdę wyjątkowym osobnikiem, jako że najwyraźniej miał trzy ręce. Być może jednak dzieci okazały się nieostrożne, co w tym wieku często się zdarza, albo po prostu nie umiały liczyć zbyt dobrze. Tak czy inaczej, urwisy były szczęśliwe, a to dobrze, gdy ktoś jest szczęśliwy, prawda?

– To chore – stwierdziła po chwili Storkul Czystka. – Idę do burdelu. Tam znajdę normalnych ludzi.

Bauchelain pokłonił się jej lekko.

– Droga Zdrowa Rycerko, dziękuję za pomoc, jakiej udzieliłaś nam tej nocy. Mam nadzieję, że wino pomogło ci wrócić do siebie?

Zamrugła.

– Wrócić do siebie? O tak. Pomogło wrócić do siebie, ożywiło, odżywiło, dodało wigoru, a nawet splendoru. – Rozejrzała się wokół,

zatrzymując na koniec spojrzenie na towarzyszącym im nieboszczyku. – Och, nie wyglądasz za zdrowo, prawda?

Trup wykrzywił wyschniętą twarz.

– Dopiero teraz to zauważyłaś? – Nagle Necrotus się uśmiechnął. – Właściwie to mi się podoba. Lubię takie kobiety, jak ty... teraz chyba lubię.

Storkul wyprostowała się.

– Niech nic ci się nie zdaje – odparła wyniośle. – Nie jestem tania.

– To odrażające – wyszeptał Ineb Kaszel – ale piękne.

– Idziemy? – zapytał Bauchelain Necrotusa. Trup szarpnął się nagle, a potem skinął głową.

Storkul Czystka oddaliła się chwiejnym krokiem, zapewne w stronę burdelu, w którym ongiś pracowała.

Król Necrotus podjął krótką, spazmatyczną próbę rozczesania nadmiernie długich, skołtunionych i pozlepianych ptasimi odchodami włosów, a potem ruszył przed siebie tanecznym krokiem, na szeroko rozstawionych nogach.

– Och, będę tańczył! Całą drogę aż do pałacu! Ach, to śmiertelnie przygnębiające!

Nekromanta popatrzył na Ineba Kaszla, unosząc brwi.

Demon skinął głową.

– Oczywiście. Idę z wami. Nie chciałbym, żeby mnie to ominęło. Nie ma mowy.

– W gruncie rzeczy – odparł Bauchelain – wolałbym, żebyś zrobił dla mnie coś innego.

- A czy to będzie plugawe?
- Hmm, przypuszczam, że tak.
- Dobra, w takim razie się zgadzam.

* * *

Imid Factallo, niemowlę i Elas Sil ujrzeli przed sobą ogromne frontowe wejście do Wielkiej Świątyni Pani. Wszyscy troje spoglądali z osłupieniem na dziesiątki ciał leżących na szerokich schodach wiodących do stojącego na podwyższeniu ołtarza.

- Doszło tu do rzezi – stwierdził drżącym głosem Imid.

Elas chrząknęła i potrząsnęła głową.

- Niekoniecznie. Widzisz gdzieś krew? Ja nie widzę.

- Tu jest dość ciemno...

- Nie pod tymi pochodniami.

- Nikt się nie rusza.

– I tu muszę ci przyznać rację. To cholernie dziwne. Chodź, Imid, podejźmy bliżej.

Ruszyli razem przez plac. Z trawionej pożarem czynszowej kamienicy dwie przecznice dalej sypały się pod niebo kaskady iskier i Świątynia Pani była rysującą się na tle ich blasku mroczną sylwetką. Robiła wrażenie zamkniętej szczelnie jak grobowiec. Nie paliło się w niej żadne światło.

– Typowe – stwierdziła Elas Sil z pogardliwym prychnięciem. – Zamknęli się, jakby to była oblężona twierdza. Pewnie mają swoje powody. Chyba w najbliższym czasie nie usłyszymy więcej płynących z ołtarza niesamowitych oświadczeń, he? Bogini na pewno schowała się w jakiejś dziurze.

– Psst! Na Otchłań, Elas, oszalałaś?

– Czy oszalałam? Tak! Jestem szalona.

Podeszli do schodów i leżących na nich ciał, które zaczęły się poruszać na dźwięk ich głosów. Głowy uniosły się, a zaspane oczy skierowały w ich stronę. Imid i Elas zatrzymali się bez słowa.

– Ona nas nie uratuje! – wydyszała jakaś kobieta. – Wszędzie pełno... niezdrowych! Piją... i palą! Wszędzie! Ach, niedobrze mi. Na sam ich widok! To chore, obrzydliwe, wstrętne, niezdrowe!

– Chore, obrzydliwe, wstrętne, niezdrowe! – powtórzyło chórem kilkoro innych.

Po chwili wszyscy już mamrotali ten sam refren.

– Chore, obrzydliwe, wstrętne, niezdrowe!

– Pani na dole – wyszeptał Imid. – To dobroczyńcy! Spójrz, więdną na naszych oczach!

– Pamiętasz nauki, które odebraliśmy jako święci? – zapytała Elas. – Rozwiążłość, gdy się upowszechnia, zamienia się w plagę. Śmiercionośną horde żarłocznych demonów, które zatruwają umysły, ciała i dusze. Rozwiążłość to tandetna ucieczka przed naturalnym cierpieniem, które jest odpowiednią dla nas ścieżką. A dlaczego? Dlatego że to jedyna uczciwa ścieżka.

Imid wlepił w nią zdumione spojrzenie.

– Chyba nie wierzysz w te bzdury?

– Pewnie, że nie. Ale oni w nie wierzą.

– I te przekonania ich zabijają?

– W rzeczy samej.

– To szaleństwo! – Imid Factallo ruszył przed siebie, trzymając na rękach płaczącą niemowlę. – Wysłuchajcie mnie! Jestem świętym! Wysłuchajcie mnie wszyscy!

Jęczący ludzie umilkli. W blasku pożarów ich oczy lśniły nadzieją.

– Czy tego nie widzicie? – zapytał Imid. – Trzeźwość oznacza czystość spojrzenia, a czystość spojrzenia oznacza, że potraficie dojrzeć prawdę! Widzicie, jak niesprawiedliwe, okrutne, bezwzględne i paskudne jest wasze życie! Widzicie, że inni nad wami panują, wtrącają się w każdy szczegół waszej mizernej egzystencji. Wasze życie jest nie tylko mizerne. Jest gównem warte!

Tłum odpowiedział na rzucone nierozważnie przez Imida przekleństwo głośnymi westchnieniami oburzenia oraz jednym stłumionym krzykiem.

– Nie wolno tak mówić!

– Ohyda, ohyda!

– Nie, nie, nie, nie chcę tego słuchać, nie!

Dziecko zapłakało głośno.

– Wszystko to hipokryzja! – wołał Imid. – Posiadających władzę gó...

– Cisza!

Rozkaz wykrzyczano stentorowym głosem, który dobiegał, czysty i donośny, z wejścia do świątyni. Dobroczynicy spojrzeli w górę. Z ich ust wyrwały się okrzyki ulgi. Imid i Elas wbili wzrok w spowitą w szary strój kobietę, która podeszła do ołtarza i stanęła po jego prawej stronie.

– To Stentorowa Mniszka! – zawołał ktoś.

Dziecko znowu zapłakało.

Pod Imidem ugięły się kolana, gdy kobieta wskazała nań

oskarżycielskim gestem.

– Ty! – syknęła.

– Ja! – odparł odruchowo Imid.

– Głosicielu fałszywych prawd!

– Że jak? – zapytała Elas Sil.

– Błóżnierco! Wyjawicielu tego, czego nie wolno wiedzieć!

– No, z tym to się trochę spóźniłaś! – zawołał Imid, czując nagły, niewytłumaczalny przypływ śmiałości.

Rozległy się kolejne westchnienia. Co gorsza, na placu za ich plecami gromadził się coraz liczniejszy tłum. Byli w nim zarówno żywi, jak i umarli.

– Masz przechlapane – mruknęła stojąca za Imidem Elas.

Mniszka rozpostarła ramiona.

– Konieczny jest sąd! – zawołała. – Pani Błogosławieństw przemówi! Przemówi ze swego Świętego Ołtarza!

Wewnątrz kamiennego prostopadłościanu rozległ się dziwny, zgrzytliwy dźwięk.

– Czyżbym czuła niemowlę? – dobiegł stamtąd drżący głos.

* * *

Jedno uderzenie w tłusty, obwisły policzek, a potem drugie, trzecie, czwarte...

– Przestań! Proszę! To boli!

– Nauseo? Nie śpisz?

Zamrugał, skierował w górę zaspane, nasycone spojrzenie, a potem żałosna mina zniknęła z jego twarzy, ustępując miejsca srogiemu marsowi.

– Ineb Kaszel! Chcesz mnie zabić, czy co?

– Próbowałem cię obudzić!

– Czyżbym zasnął? No wiesz, nic w tym dziwnego. Najadłem się tak bardzo, że chyba pęknę. Co za noc! To było zupełnie niespodziewane!

Ineb Kaszel stał na piersi Demona Otyłości. Mogła to być tylko jej lewa połowa, ponieważ Nauseo Niechluj powiększył się tak bardzo, że wypełniał sobą cały zaułek. Jego cielsko opierało się o ściany po obu stronach, sięgając niemal do samego wylotu.

– Musisz wstać – oznajmił Ineb. Nagle odbiło mu się alkoholem. – Potrzebuję cię. Czeka nas podróż.

– Podróż? A dokąd?

– Niedaleko. Daję słowo.

– Nie dam rady. To zbyt trudne. Zaraz eksploduję. Bogowie, skąd się tu wzięło tyle pazerności?

Ineb przykucnął przy towarzyszu i podrapał go po przyszczatej szczęce.

– Pewnie się nagromadziła przez cały ten czas. Czekala w ukryciu. Jeśli chodzi o mięso, to czy widzisz na ulicach jakieś psy? Koty? Konie? Ja też nie widzę. Z nastaniem nocy zaczęła się krwawa łaźnia, a to nawet jeszcze nie półmetek. Któż mógłby to sobie wyobrazić?

– Co się właściwie stało? – zapytał Nauseo.

– Ktoś opłacił dwóch nekromantów, Nauseo, żeby położyli kres rządowi terroru. – Pociągnął się za nos. Swędziało go i ciekła z niego

wydzielina od wążania tego całego proszku. – Trzeba przyznać, że zaczęli z rozmachem.

– Ci nekromanci?

– Aha. Jeden z nich jest też zaklinaczem i przywoływaczem demonów. To mnie bardzo niepokoi. Niepokoi, Nauseo, tak jest. Ale dotąd nie próbował nade mną zapanować. I bardzo dobrze, bo byłem okropnie słaby.

– Chyba już nie mamy czego się bać? – Nauseo przesunął się lekko. Pod stopami Ineba przetoczyły się z łoskotem masywne fałdy ciała. – Jesteśmy teraz za silni. W tak wzmocnionym stanie żaden przywoływacz na świecie nam nie sprosta.

– Pewnie masz rację. Tak czy inaczej, wygląda na to, że nekromanci zamierzają dotrzymać słowa. Strącą z tronu Macrotusa i posadzą na jego miejscu kogoś mniej okropnego, żeby Dziwo mogło wrócić do normalnego, podupadającego stanu. Może to nawet być sam Necrotus. No wiesz, ten drugi nekromanta go wskrzesił.

– Och, cudownie!

– No, ale pora w drogę. Widziałeś może ostatnio Lenistwo?

– Przed chwilą tu była...

Gdzieś na dole rozległ się słaby jęk.

* * *

Ci spośród mieszkańców pałacu, którzy zachowali zdolność ruchu, zdążyli się oddalić, zanim Emancipor Reese zauważył Bauchelaina. Jego pan szedł powoli z rękami splecionymi za plecami. Co chwila przystawał, żeby zamienić parę słówek z różnymi uszkodzonymi nieumarłymi obywatelami, zmierzając niespiesznie ku pałacowym schodom, na których siedział jego lokaj.

– Czy król Macrothus jest w środku? – zapytał Bauchelain, spoglądając na Emancipora.

Lokaj skinął głową.

– Tak, tak, na pewno nigdzie nie pójdzie.

– Towarzyszył mi król Necrotus – ciągnął nekromanta, rozglądając się – ale wygląda na to, że nas rozdzielono. Natknęliśmy się na tłum... no cóż, szczegóły nie są istotne. Jak rozumiem, panie Reese, nie zaczepiał cię trup pragnący się dostać do pałacu?

– Obawiam się, że nie, panie.

– Ach, rozumiem. Ciekawi mnie, panie Reese, czy nie uderzył cię fakt, że wypadki nabrały szalonego tempa?

– Po tym, jak Invett Wstręt wybiegł z tego budynku, całe miasto najwyraźniej straciło zmysły.

– Invett Wstręt?

– To Paladyn Czystości, panie. Wódz Zdrowych Rycerzy. Obawiam się... – Emancipor zawahał się – ...że, hmm, pożyczyłem mu chusteczkę. Rozumiesz, krew leciała mu z nosa. To była tylko zwykła uprzejmość, nie można mieć do mnie pretensji. W końcu...

– Panie Reese, przestań, proszę. Bardzo nie lubię gadania od rzeczy. Jak rozumiem, jedna z twoich licznych chusteczek wpadła w ręce tego paladyna i z jakiegoś powodu uważasz ten fakt za znaczący.

– Panie, czy pamiętasz to pole d'bayangów, które mijaliśmy, hmm, jakieś pięć, sześć dni temu?

Bauchelain przymrużył powieki.

– Mów dalej, panie Reese.

– Pączki były otwarte, tak? D’bayangi nazywają makami, ale z pewnością ci wiadomo, że to w rzeczywistości zupełnie inne rośliny. Tak czy inaczej, w powietrzu unosiło się mnóstwo zarodników...

– Panie Reese, w powietrzu wcale nie unosiło się mnóstwo zarodników, pod warunkiem, że wędrowiec trzymał się traktu. Przypominam sobie jednak, że w twojej głowie zrodził się jakiś tumult, który doprowadził do tego, że zacząłeś uciekać przez pole jak szaleniec, zakrywając sobie chusteczką nos i usta.

Twarz Emancipora poczerwieniała.

– Korbal Broach poprosił mnie, żebym potrzywał płuca tej kobiety, którą załatwił rano. Panie, one jeszcze oddychały!

– Ach, więc chodziło mu o drobną przysługę?

– Wybacz, panie, ale w moich oczach ona wcale nie była drobna! Przyznaję, że zachowałem się niewłaściwie, ulegając grozie i panice. Wiesz jednak, że nie lubię pobudzających środków alchemicznych. Odrętwienie i zapomnienie, tak jest, oczywiście, przy każdej okazji. Ale ożywienie, takie, jakie powodują d’bayangi? Nie, tego nie znoszę. Dlatego użyłem chusteczki.

– Panie Reese, chyba nie chcesz mi powiedzieć, że chusteczka, którą pożyczyłeś paladynowi, była tą samą, na której były zarodniki d’bayangów?

– Niestety, panie, była. Miałem zamiar ją wyprać, ale...

– I paladyn uległ ich działaniu?

– Tak sędzę. Nagle ogarnął go zapał.

– Który mógł doprowadzić do... niepohamowanego osądzania obywateli?

– Tak, można by to tak ująć.

Bauchelain pogłaskał się po brodzie.

– To nadzwyczajne. Pozory rozsądku pozwalają na praktykowanie najrozmaitszych form nietolerancji, panie Reese, a nawet na podstępne ataki na obywateli. Ale gdy zerwie się tę maskę, opresyjny terror staje się nieprzewidywalny, być może nawet powszechny. – Przerwał i postukał się długim palcem w bok nosa. – Ta skrzynka z monetami powinna przypaść w udziale tobie, panie Reese – kontynuował nieubłagane. – Wskrzeszanie zmarłych? To okazało się całkowicie zbyteczne. Wystarczyło jedno lekkie pchnięcie wykonane przez niewinnego, nieco naiwnego lokaja.

Emancipor wbił wzrok w nekromantę. Rozpaczliwie pragnął obalić jego oskarżenie, wyprzeć się wszelkiej winy, ale nie był w stanie wykrztusić ani słowa. W jego umyśle rozbrzmiewał refren: nie, nie, to nie ja, nie, nie, to nie byłem ja. To był on. Jaki on? Wszystko jedno! Byle nie ja! Nie, nie ja, nie, nie...

– Panie Reese? Okropnie pobladłeś. Czy wspominałem już, że nigdy dotąd nie widziałem twych oczu tak wyraźnie? Białka wręcz wychodzą z orbit. Siła natury skłania wszystko do spadania na ziemię, wyobrażam więc sobie, ile toksyn zgromadziło się w tej chwili w twych biednych stopach. Obawiam się, że trzeba będzie puścić z nich krew. Znaczną ilość. Oczywiście to nie jest odpowiedni moment. Nie, nie przekonuj mnie, że jest, panie Reese. A teraz, czy mógłbyś mnie zaprowadzić do króla Macrotusa?

Emancipor zmarszczył brwi, a potem zamrugał. Stopy? Puszczanie krwi? Macrotus?

– Zrobię to z radością, panie. Możesz do niego przemawiać, jak długo zechcesz, ale obawiam się, że nie przyniesie to wiele dobrego.

– Rzadko przemawiam po to, żeby czynić dobro, panie Reese. Możemy już ruszać?

Invett Wstręt nigdy dotąd nie czuł się tak żywy, tak bardzo żywy, że aż to go zabijało, ale nie miał nic przeciwko temu, ponieważ wyglądało na to, że on również zabił dziś wielu, tak przynajmniej sugerowała krew spływająca po jego mieczu, a był w pełni przekonany, że w istocie świadczy ona, iż poddał świętemu osądowi niezdrowych, niemytych kretynów, którzy mieli czelność uważać się za godnych obywateli Dziwa, i ten osąd był słuszny, Invett zaś miał prawo, a nawet obowiązek go wymierzać jako Paladyn Czystości, Paladyn Doskonałości, prowadzący straż przednią wigoru ku zdrowej, radosnej śmierci, a jeśli on i jego straż przednia stratowali po drodze garstkę niemowląt, małych dzieci i starców o słabych kościach, no cóż, nie można było nic na to poradzić, ich sprawa była tak słuszna, że jej blask oślepił niczym słoneczny ogień, pochłaniał wszystko, swym gwałtownym smaganiem sprawiał, że mięso odchodziło od kości, tak jest, był pewien, że smaganie jest tu odpowiednim słowem, czemu miałyby nie być, czyż w końcu nie był Paladynem Przyzwoitości, z całą pewnością był i – spójrzcie! – noc była jeszcze młoda, a do tego wyjątkowo jasna, dzięki tym wszystkim płonącym ruderom i ich trawionym ogniem mieszkańcom, z których żaden nie zasługiwał na mniej nędzną, mniej palącą śmierć, albowiem osąd nadchodzi we wszelkich formach i we wszelkich rozmiarach, wliczając w to szmatławce koce spowijające te irytujące bachory, takie tłuste i apetyczne, zabierane przez mniszki, które równie dobrze mogły być ładne pod tymi swoimi zasłonami, kto wie, ale takie myśli były niedopuszczalne, bo to w końcu były mniszki i tak dalej, a on był Paladynem Prawości i maszerował płonąca ulicą, ach, czy w podziemnym świecie nie było żadnej jaskini, w której nie istniało nic poza ogniem i udręką, być może takiej jaskini nie było, ale powinna być, gdyż Invett Wstręt uważał, że przydałoby się jakieś miejsce wiecznych mąk dla wszystkich tych niezdrowych kup gówna kiepsko obleczonych w ludzkie skóry, które popękałyby w płomieniach, razem z ukrytym pod spodem mięsem, ach, jak by się wili i tryskali ohydnyimi płynami, po wieki wieków dręczeni odrażającymi toksynami, aż wreszcie całe ciało by się rozpadło, fałda po fałdzie, galaretowate i pokryte wielkimi, ropiejącymi wrzodami, ciało wypełniało całą ulicę i jak miał

przez nie przejść? Na Panią, to żyło!

– Uff! – sapnął ogromny stwór pod wpływem nagłego uderzenia.

Szalona szarża Invetta Wstręta skończyła się gwałtownie. Paladyn wpadł między obwisłe fałdy, a potem wydostał się spomiędzy nich i zwałił na zadek. Usunął mruganiem łzy z oczu. Ze spuchniętego nosa znowu popłynęła mu krew.

– To boli! – pisnął stwór.

Paladyn zerwał się szybko, przyciskając chusteczkę do nosa. Przedostanie się przez to! Miał miecz. Będzie ciął, rąbał, szatkował i szlachtował! Invett Wstręt ryknął głośno i uniósł oręż nad głowę.

W odległości dwudziestu paru kroków wielka jak beczka, pokracczna bryła, która była twarzą Nauseo Niechluj, rozciągnęła się nagle na wszystkie strony w grymasie przerażenia. Demon wybałuszył maleńkie oczka tak mocno, że aż wylazły spod fałd ciała, a potem krzyknął przeraźliwie.

I odsunął się raptownie, w ostatniej chwili unikając ciosu miecza.

Żelazo uderzyło z brzękiem o bruk.

Ogarnięty paniką Nauseo Niechluj rzucił się naprzód i pochwycił paladyna, nim ten zdążył zamachnąć się po raz drugi. Zamknął przeciwnika w rozpaczliwym uścisku. Po ciele Invetta Wstręta ślizgała się tłusta, rozciągnięta skóra. Z jej porów wyrastały kręcone kłaki, otaczały je obwódki zaczerwienionego, obrzękłego ciała, nadające im wygląd maleńkich wulkanów. Szarpiącego się rozpaczliwie paladyna zalewały ohydne, wulkaniczne soki.

Nauseo przyciągnął wrywającą się postać bliżej i wcisnął ją sobie pod pachę.

Gdzie bytowały najprzeróżniejsze okropieństwa.

Invett Wstręt nie był w stanie oddychać. Ale przecież nie potrzebował tego robić! Był Palady... dusił się! Pochłonęła go tłusta ciemność, skołtunione kłaki muskające jego twarz na podobieństwo robaków, pękające pryszcze. Rozstęp skóry pokrywający jego usta wieloletnim tłustym brudem... ach, ten smak, co on mu przypominał? Jogurt?

Jogurt. Ostatnia świadoma myśl Invetta Wstręta niosła się w jego mózgu straszliwym łkaniem.

* * *

– Daj mi to dziecko!

Imid Factallo wzdrygnął się trwożnie, słysząc gadzi syk. Niemowlę umilkło nagle, wbijając w świętego spojrzenie szeroko rozwartych oczu.

– Daj mi je!

Imid popatrzył na Stentorową Mniszkę. Ich publiczna debata przerodziła się w wymianę paskudnych obelg, z której nie wynikało nic poza rozrywką dla tłumu. Inną, dość osobliwą konsekwencją pyskówki był fakt, że strój mniszki ogarnął nieład. Nawet zasłona na twarzy opadła z jednej strony, odsłaniając wykrzywione w grymasie nienawiści usta.

Imid ujrzał w nich zaostrzone zęby i wyciągnął przed siebie palec w oskarżycielskim geście.

– Ona ma spiłowane zęby! Chce mi zabrać dziecko! Jest kanibalem!

Każdy tłum jest nieprzewidywalną bestią, zwłaszcza po niewypowiedzianie gwałtownej nocy. W ciżbie były też matki, które straciły dzieci na rzecz świątyni. Zabrały je im mniszki takie jak ta, z jej głodnym grymasem i zębami jak u rekina. Gdy Imid Factallo wykrzyczał swe oskarżenie, nastąpiła chwila ciszy, wystarczająco długa, by wszyscy zrozumieli znaczenie jego słów, by rozmaite straszliwe szczegóły ułożyły się w głowach gapiów w całość.

Potem rozległy się wrzaski i napłynęła fala żądnych zemsty ludzi, którzy wyciągali ręce, wydając z siebie złowieszcze, zwierzęce odgłosy.

Mniszka rzuciła się z piskiem do ucieczki.

Nie umknęła daleko.

Doszło do przerażającej sceny, której Imid Factallo nie zdążył obejrzeć do końca, gdyż Elas Sil obróciła go oburącz i siłą zaciągnęła na drugą stronę ołtarza, a potem ku drzwiom świątyni. Gdy Imid je zobaczył, zaczął się wrywać.

– Nie! – zawołał. – Nie tam!

– Ty idioto! – wysyczała Elas Sil. – Te zęby nie były spiłowane! Były zepsute! Zostały z nich tylko pieńki! Ta kobieta musiała siorbać posiłki, Imid! Rozumiesz?

Mężczyzna obejrzał się za siebie i zobaczył, że ze Stentorowej Mniszki zostało bardzo niewiele.

– Przysiągłbym, że były zaostrzone...

– Nie były!

– W takim razie... zupa z niemowląt?

– Och, daj spokój! – Podeszli do drzwi. – Trzeba jednak przyznać, że to świetny sposób na zakończenie debaty – dodała Elas Sil. – Muszę to sobie zapamiętać.

– Wydawało mi się, że są ostre – upierał się Imid gderliwym głosem.

Elas Sil pociągnęła za żelazny pierścień.

Ku ich zdziwieniu drzwi się otworzyły. Oboje zajrzeli w półmrok. Była tam pusta komnata, której długość przerastała szerokość. Kopulasty sufit pokryto złotym listkiem. W środku nie było nikogo.

– Gdzie są wszyscy? – zapytał szeptem Imid.

– Sprawdźmy to – zaproponowała Elas Sil.

Zakradli się do Wielkiej Świątyni.

* * *

Król Necrotus Nihilistyczny nie czuł się dobrze. Odpadło mu lewe ramię, a w kroczu znalazł gniazdo nietoperzy. Na szczęście zwierzęta uciekły podczas jego szalonego tańca na murze. Niemniej jednak pazurki, na których wisały, były ostre i teraz, gdy w jego zwiędłym ciele na nowo pojawiło się owo słodkie, tak brutalnie przebudzone wrażenie, przekonał się, że czuje w pewnych częściach dotkliwy ból.

Potknięcie się o własną rękę z pewnością było niespodzianką. W jednej chwili kołysała się ona spokojnie u jego boku, a w następnej spadła mu pod stopy, przez co przewrócił się na twarz i złamał sobie zuchwę. Teraz, gdy obracał głowę, było w niej słychać jakiś chrobot. A wszystko to stało się na skutek panicznej ucieczki przed okrutnym tłumem, który polował na umarłych i rozdzierał ich na strzępy. Nawet pod najspokojniejszą powierzchnią kryły się niskie uprzedzenia. Nie było to szczególnie niespodzianką dla króla, który nosił przydomek „Nihilistyczny”, niemniej jednak okazało się dla niego niedogodne.

A teraz zabłądził. We własnym mieście. Zupełnie zgubił drogę.

W pobliżu nie płonęły żadne budynki, musiał więc brnąć przez ciemność. Niósł prawą rękę pod lewą pachą (królewska krawcowa potrafiła dokonywać cudów, pod warunkiem, że jeszcze żyła), szukając jakichś punktów orientacyjnych.

Niezwykła transformacja ulicy, po której szedł, zaskoczyła go całkowicie. Mgła nagle zawirowała, odsłaniając ołowianą plamę nieba, i na końcu drogi pojawiła się potężna brama zbudowana z kości. Wyszła z niej chuda, zgarbiona postać.

Necrotus zatrzymał się w odległości dwudziestu kroków od niej. Postać również przystanąła, wspierając się ciężko na sękatej lasce. Uniosła szkieletową dłoń i skinęła nią.

Necrotusem zawładnęło przemożne pragnienie. Poczuł, że posuwa się powoli ku nieznanemu.

– Kim jesteś? – wysyczał.

Postać przechyliła zakapturzoną głowę.

– Panem Śmierci? Żniwiarzem Dusz? Kościstym Rybakiem, który na wszystkich zarzuca swą sieć? – Westchnął. – Nie, tylko jednym z jego sług. Czyż nie mam wielkiego potencjału? Zawsze mu to powtarzam, ale czy on mnie słucha? Nigdy. Staram się, żeby ścieżka była czysta, tak? Poleruję czaszki w Bramie, zgadza się? Tylko na nią spójrz. Lśnią oślepiającym blaskiem, nie zobaczysz nawet kamienia na zębach! Nieźle sobie radzę, mój panie, tak jest!

Necrotus próbował uciec, ale mógł tylko przyglądać się z fascynacją, jak jego stopy zmierzają krok za krokiem ku przeraźliwej bramie.

– Nie! Wskrzeszono mnie! Nie możesz mnie zabrać!

Sługa chrząknął.

– Korbak Broach. Jeden odrażający uczynek po drugim. Och, nie lubimy go, tak jest. Nie lubimy go, a nawet więcej, gdyż to mnie zlecono pościg za nim. Pościg i pojmanie go. To musi coś znaczyć! Mam wielki potencjał, tak jest, i dlatego muszę dowieść swej wartości. Zgromadziłem legion, wszystkie ofiary Korbaka Broacha, i znajdziemy go, tak jest, znajdziemy!

– Zostaw mnie! – zawołał Necrotus.

Sługa poderwał się nagle.

– Słucham?

– Zostaw mnie! Nienawidzę cię! Nie przejdę przez tę piekielną bramę!

– Nienawidzisz mnie? – zapytał cicho sługa.

– Tak!

– Ale co ja ci zrobiłem?

– Zmuszasz mnie do przejścia przez tę bramę!

– Nie miej o to do mnie pretensji. Ja tylko wykonuję swoją pracę. To nie jest osobista sprawa!

– Pewnie, że jest osobista, ty chudy idioto!

– Och, wszyscy jesteście tacy sami! Uwalniam was od waszej nędznej egzystencji, ale czy jesteście mi za to wdzięczni? Nigdy! Wy i wasze sławetne wierzenia, wasze niezliczone wyobrażenia i bezsensowne religie! Wszystkie te wymyślne kłamstwa mające oszukać nieuniknione. Mówisz, że mnie nienawidzisz? Nie, to ja ciebie nienawidzę! Nienawidzę was wszystkich!

Sługa obrócił się na pięcie i pokuśtykał sztywno w stronę bramy.

Rozległ się głośny łoskot i brama zniknęła, ustępując miejsca nieco lepiej znanej Necrotusowi ulicy w Dziwie, tej samej, którą przed chwilą szedł. Oszołomiony król rozejrzał się wokół.

– Nie... nie chciał mnie zabrać! To chyba dobrze, prawda?

W takim razie, czemu czuł się taki... urażony?

Król Necrotus Nihilistyczny ponownie ruszył przed siebie. Musiał się w końcu zorientować, gdzie właściwie się znajduje.

Wtem u jego stóp rozległ się podwójny łoskot. Necrotus zatrzymał się i

spojrzał w dół. Na bruku leżały dwie ręce.

– Niech to szlag.

Potem odpadła mu głowa. Uderzył mocno lewą skronią o bruk. Obraz przed jego oczyma przetoczył się gwałtownie. Och, to wcale nie wyglądało dobrze.

* * *

Bauchelain przedostał się do środka urzędnika, zręcznie uchylając się przed rozkołysanymi dźwigniami i omijając klekoczące przekładnie, by dotrzeć do króla Macrotusa.

Emancipor Reese przyglądał się temu, stojąc obok upuszczonej przez służącą kolacji. Chcąc nie chcąc, musiał poczuć podziw. Nekromanta raczej nie zwykł oddawać się ćwiczeniom, a mimo to pozostawał szczupły i gibki, a nawet zdolny do walki – w tych rzadkich okazjach, gdy zawiodły go czary, spryt, oszustwo i zdrada. Fizycznie wyglądał na sześćdziesięciolatka, aczkolwiek sprawnego, lecz poruszał się z gracją tancerza. Skutki zdrowego życia? Być może. Ale raczej alchemii.

– I jak, panie?! – zawołał lokaj. – Ile dni minęło?

Bauchelain pochylił się, żeby się lepiej przyjrzeć.

– Co najmniej dwa tygodnie – ocenił. – Chyba serce mu pękło. To był nagły, a nawet katastrofalny zgon. – Nekromanta obejrzał się za siebie. – Skąd wiedziałeś?

Emancipor wzruszył ramionami.

– Nic nie jadł.

Bauchelain zszedł na dół.

– Zwolennicy intensywnych ćwiczeń – zaczął czarodziej – na ogół nie zdają sobie sprawy, że ćwiczenia, rozumiane jako coś różnego od pracy, są

darem cywilizacji, wywodzącym się z hierarchicznej struktury społecznej oraz zapewnianego przez nią wolnego czasu. Prawdziwych robotników nic rzecz jasna nie obchodzą żadne ćwiczenia. – Nekromanta odsunął się od klekoczącej, zgrzytającej maszyny i zatrzymał się, by strzepnąć pył z ubrania. – Dlatego fanatycznym wyznawcom ćwiczeń umyka pewien istotny, świetnie znany robotnikom fakt. Ciało ze swymi narządami, mięśniami i kośćmi nieuchronnie się zużywa. Jestem przekonany, panie Reese, że, na przykład, serce może wykonać tylko określoną liczbę uderzeń. Podobnie wszystkie mięśnie, kości i inne narządy mają nieprzekraczalne limity ograniczające ich zdolność funkcjonowania. – Wskazał zamaszystym gestem na trudzące się zwłoki króla Macrotusa Przemownie Troskliwego. – Przyśpieszanie przekroczenia tych limitów jest w mojej opinii totalnym szaleństwem.

Emancipor chrząknął.

– Panie, naprawdę chciałbym już opuścić to miasto.

– Ach, to byłaby ucieczka.

Wpatrywali się w siebie przez chwilę.

Potem Bauchelain odchrząknął.

– Mam do wykonania jeszcze jedno zadanie. Panie Reese, biorąc pod uwagę nieoczekiwany rozwój wypadków, do jakiego doszło ostatniej nocy, jestem przekonany, że osiągnęliśmy już w Dziwie swe cele. Dlatego nie oddalę twojej prośby i pozwolę ci, hmm, oddalić się.

– Moja wdzięczność nie ma granic, panie.

– Mniejsza z tym. Jeszcze tylko jedno. Czy mógłbyś mi wskazać drogę do Wielkiej Świątyni Pani Błogosławieństw?

– Oczywiście, panie.

* * *

Otoczony liczną zgrają wyuzdanych pijaków Demon Występku wmieszał się chwiejnym krokiem w ogromny tłum wypełniający plac przed Wielką Świątynią. Śpiewał na cały głos piosenkę, której nigdy dotąd nie słyszał. Życie znowu było cudowne. Tej nocy Ineb Kaszel nie zapomniał bardzo długo. Albo w ogóle jej nie zapamiętał. Co za różnica?

Potykali się o fragmenty trupów. Wiele z nich wciąż jeszcze chciało się bawić, o ile drzenie i ruchy pourywanym kończyn mogły być tu jakąś wskazówką. Pożary trawiące kamienice zbliżyły się do świątyni, oświetlając ją jaskrawym blaskiem. W pobliżu schodów spoczywała masa cuchnącego, lecz uparcie oddychającego ciała – Demon Otyłości. Wokół niego trwała zaimprovizowana uczta. Podawano sobie wielkie płyty niedopieczonych, ociekającego sokami mięsa, a usmarowane tłuszczem twarze lśniły w ekstazie. Wszędzie też było widać wymiotujących ludzi, nieprzyzwyczajonych do... nie, poprawił się Ineb, oni byli chorzy z przesytu, cudownego przesytu.

Zobaczył Lenistwo. Senker Później niosło nad głowami chyba ze dwudziestu ludzi. Ujrawszy Ineba Kaszla, zdołała słabo pomachać do niego obleczoną w białą rękawiczkę dłonią.

Zatem zebrali się tu wszyscy i czekali teraz tylko na swego cudownego zbawcę, Bauchelaina, który ogłosi, jaki los czeka miasto. Ineb niemal szalał z niecierpliwości.

* * *

– Słodziutcy, jestem!

Storkul Czystka rozpostarła ramiona i zamarła w tej pozycji. Przed nią, w mrocznej Sali Orgii, na najwyższym piętrze burdelu Hurli, poruszały się jakieś postacie. Uświadomiła sobie, że jest ich mnóstwo i wszystkie chodzą na rękach i kolanach. To był dobry znak. A sądząc z towarzyszącego temu chrząkania i popiskiwanie, całe mnóstwo dobrych znaków.

Pomijając, rzecz jasna, smród.

Jedna z postaci wyprostowała się niepewnie.

Niestety, oczy Senker przyzwyczajały się do ciemności.

– Czym się tak wysmarowałeś? – zapytała.

– No wiesz, one to lubią – odparł drżącym głosem niski mężczyzna.

– Kto?

– Moje świnie, oczywiście – wyjaśnił człowieczek, wskazując ręką za siebie.

Świnie? Na Otchłań, to faktycznie były świnie!

– Przecież to burdel! Co gorsza, jego drugie piętro. Co robią te odrażające zwierzęta w miejscu, gdzie spodziewałam się znaleźć normalne odrażające zwierzęta?

– Ukrywam je tu, oczywiście! Wszyscy w mieście oszaleli! Chcą zarżnąć moje ślicznotki, ale ja do tego nie dopuszczę! Kto wpadłby na to, żeby ich szukać na najwyższym piętrze burdelu? Nikt! Nikt oprócz ciebie, a ty nie przyszedłeś tu po to, żeby je zaprowadzić na rzeź... prawda?

Storkul zastanawiała się nad tym przez dłuższą chwilę, a potem opuściła z westchnieniem ramiona.

– Dobra, wstrzymam oddech. Rozbieraj się staruszku. To będzie na koszt firmy.

– Nie... nie mogę! Będą zazdrosne!

Nagromadzona frustracja przekroczyła granice wytrzymałości Storkul Czystki. Kobieta krzyknęła.

* * *

Wędrując w oszołomieniu przez podziemne korytarze i komnaty ukryte pod świątynią, Imid Factallo, niemowlę i Elas Sil przez cały czas słyszeli dobiegający z góry ryk. Brzmiał on złowieszczo, jakby na ulicach miasta trwała straszliwa rzeź. Tak przynajmniej sądzili, ostatnim bowiem, co ujrzeli w nadziemnym świecie, była makabryczna śmierć Stentorowej Mniszki.

Jednakże tutaj, na dole, panowała cisza. Gdzie się podziały mniszki? I skonfiskowane dzieci? Nie znaleźli tu nikogo, zupełnie nikogo.

– Psst! – syknęła Elas Sil, ściskając go za ramię.

– Nic nie powiedziałem!

– Psst!

Gdzieś blisko było słycać szepty. Przystanęli w korytarzu. Przed nimi znajdowało się skrzyżowanie w kształcie litery T. Naprzeciwko siebie mieli drzwi. Z ich szczelin wydobywało się słabe światło lampy oraz zapach wonnych olejków.

Elas ruszyła ku drzwiom, ciągnąc Imida za sobą.

– To tutaj – wyszeptał mężczyzna.

Spojrzała na niego.

– Tutaj przygotowują dzieci – wyjaśnił Imid. Serce waliło mu mocno w piersi. Oblizał wargi, czując nagle w ustach straszliwą suchość. – Uśmiechnięte mniszki prowadzą je tu za rączki. A potem ciach! Tasakiem! Łup, łup, kości wędrują do kotła, jakaś stara wiedźma miesza w nim wielką żelazną warząchwią, a z jej bezzębnych ust skapuje ślina. Wszystkie te cichutkie głosiki milkną na zawsze! – Spojrzał na śpiące w jego ramionach niemowlę. – Trafiliśmy w niewłaściwe miejsce, Elas!

– Oszalałeś! Mówisz jak... ojciec!

Otworzyła szeroko drzwi.

Zalało ich światło.

I ujrzeli twarze. Morze dziecinnych twarzy. Dzieci w każdym możliwym wieku.

– Szybko, schowajcie się! Och, zamknijcie drzwi!

Właściwie była to raczej kakofonia, ale Imid i Elas zdolali zrozumieć przynajmniej te dwa polecenia.

Weszli do nakrytej kopulastym sklepieniem komnaty.

I drzwi zatrzęsnęły się za nimi.

Dzieci podbiegły do nich, widząc opatulone niemowlę.

– Och! Jeszcze jedno! On? Ona? Czy jest zdrowe? Nie jest jeszcze chore, Błogosławiona Pani, niech nie będzie chore!

Imid cofnął się lekko, widząc wyciągające się niemu ręce.

– Odsuńcie się, okropne stworzenia! Chore? Nikt tu nie jest chory! Mówię wam, nikt!

– Co wy tu wszystkie robicie? – zapytała Elas Sil.

– Żyjemy zdrowo!

– Że jak?

Z tłumu wystąpiła nieco starsza dziewczynka.

– To nasze schronienie. Przed światem zewnętrznym, tym okropnym, brudnym, niezdrowym miejscem.

– Niezdrowym? – powtórzyła ze zdziwieniem Elas. – Jak to,

niezdrowym?

– Są tam różne paskudne rzeczy. Rzeczy, od których możemy zachorować! Zwierzęta, od których możemy zachorować! Muchy, ptaki, nietoperze, myszy, szczury, wszystkie są chore i tylko czekają, żeby nas zarazić! I ludzie – kaszlący, smarkający i plujący tą flegmą wokół siebie! Są tam opary buchające z odbytów i jeszcze gorszych miejsc. I wozy, które mogą nas przejechać, schody, z których możemy spaść, mury, o które możemy rozbić sobie głowy. Musicie dołączyć do nas tutaj, gdzie jest bezpiecznie!

– I zdrowo – dodało drugie dziecko.

– Jak tam jest? – zapytało trzecie.

Elas Sil zamrugła.

– To znaczy gdzie?

– Na świecie.

– Przestań, Chimly! – skarciła je pierwsza dziewczynka. – Przecież wiesz, że ciekawość jest śmiertelnie groźna!

Ktoś w tłumie zakasłał.

Wszystkie dzieci się odwróciły.

– Kto to zrobił? – wysyczała dziewczynka.

– Teraz! – zawołał Imid.

Na szczęście Elas Sil natychmiast zrozumiała, o co mu chodzi. Odwrócili się jednocześnie i złapali za klamkę.

– Patrzcie! – zawołał ktoś za ich plecami. – Uciekają!

Drzwi się otworzyły i dwoje świętych z niemowlęciem wypadło na

korytarz.

– Łapcie ich!

Rzucili się do ucieczki.

* * *

Król Necrotus Nihilistyczny widział wszystko pod nowym kątem. Z ukosa, lekko odwrócone do góry nogami. Próbował się przemieszczać przez poruszanie uszami, ale skutki okazały się mizerne. Najwyraźniej mięśnie jego twarzy i skóry czaszki nie były skonstruowane z myślą o fizycznym transporcie głowy. Z reguły to zadanie spełniało połączone z nią ciało. To był naprawdę żałosny pomysł.

Nagle przed jego oczyma zatrzymał się wielki wypucowany but.

– Hej?! – zawołał Necrotus.

But się przesunął, obcas uniósł się i na głowie króla spoczęła dłoń, która przetoczyła ją na bok. Necrotus ujrzał przykucniętego Bauchelaina.

– Chwała Otchłani! – wydyszał z ulgą król. – Tak się cieszę, że mnie znalazłeś. Widzisz gdzieś moje ciało? To będzie to bez rąk. I bez głowy, oczywiście. Nie mogło zająć daleko... a może mogło?

Bauchelain ujął głowę Necrotusa w obie dłonie i wyprostował się. Wyraz twarzy przyglądającego się królowi nekromanty wywierał lekko niepokojące wrażenie.

– Czy mówię tylko we własnej głowie? – zapytał Necrotus. – Hmm, źle to ująłem. Chciałem zapytać, czy mnie słyszysz?

– Słyszę cię znakomicie, królu Necrotusie – zapewnił po chwili Bauchelain, przechylając głowę na obie strony.

– Tylko szkoda, że mówię z głowy? – zapytał król, wykrzywiając usta w gniewnym grymasie.

– Mam szklaną gablotę, do której będziesz świetnie pasował – oznajmił Bauchelain.

– Nie zrobisz tego!

– Naprawdę świetnie. Można powiedzieć, że to dodatkowy zysk z tego interesu nieprawdaż?

– To diaboliczne!

– Oczywiście. Dziękuję.

Bauchelain wsadził sobie głowę Necrotusa pod lewą pachę. Król widział tylko podskakujący obraz ulicy, po której szli. Był wściekły, ale nie mógł nic zrobić. Och, królestwo za ciało!

– Ale będziesz ją porządnie wycierał, prawda?

– Oczywiście, królu Necrotusie – zapewnił Bauchelain. – Ach, widzę już tłum. Chyba zbliżamy się do Wielkiej Świątyni.

– A co mamy tam zrobić?

– Dokonamy wielkiego odsłonięcia, które zakończy tę straszliwą noc.

* * *

– To jakiś tunel – zauważył Imid Factallo.

– Widzę to – warknęła Elas Sil.

– Nie mamy wyboru. Słyszę te przerażające bachory.

– Wiem. Wiem! No dobra, ja poprowadzę. Zasuń za nami tę płytę.

Odkryli tajne przejście tylko dzięki temu, że ktoś zostawił drzwiczki szeroko otwarte. Z tyłu dobiegały ich przeraźliwe, mrozące krew w żyłach głosy podekscytowanych dzieci.

Imid wszedł za Elas do ciasnego tunelu, a potem odwrócił się, żeby zasunąć płytę. Nagle zapadła nieprzenikniona ciemność.

– Na cycki Pani, których nikt nigdy nie ssał!

– Elas Sil!

– Och, zamknij się! Jestem kobietą i wolno mi używać takich przekleństw. Zaczekaj, z przodu nie jest aż tak bardzo ciemno. Chodź. Czy to twoje dziecko nie śpi już za długo? Jesteś pewien, że żyje?

– W połowie ostatniego korytarza mnie obsikało, a kiedy ostatnio na nie spojrzałem, uśmiechało się.

– Aha. Zawsze mnie zdumiewa, dlaczego kobiety dają się namówić do macierzyństwa.

– Namówić? Nie bądź śmieszna, Elas. One go rozpaczliwie pragną!

– Tylko jeden raz. A pierwszy jest zarazem ostatnim.

– Nie wierzę w to.

– Nie obchodzi mnie, w co wierzysz. W końcu jesteś mężczyzną. Wiem tylko, że cenię przespane noce znacznie wyżej niż wzbogacenie tego i tak stanowczo zbyt tłoczego miasta o kolejnego bachora. A w nagrodę dostałabym tylko obwisły brzuch. Dziękuję, nie skorzystam. Zamierzam zachować jędrne ciało aż do końca życia.

– Jestem przekonany, że to nie jest tak – sprzeciwił się Imid.

– Nie masz żadnego porównania poza swoją matką, a ona urodziła ciebie, prawda?

– A jak to robisz, że nie zachodzisz w ciążę... no wiesz, po tym, co zrobiliśmy tamtego popołudnia?

– Dzięki sile woli. Zobacz, robi się coraz jaśniej. Przed nami jest jakieś

pomieszczenie.

– Słyszysz ten hałas na górze? Na placu dzieje się coś strasznego, Elas Sil, i wygląda na to, że zbliżamy się do tego czegoś. Czy może to zbliża się do nas?

– Na Otchłań na dole, Imid, czy ty kiedykolwiek przestajesz narzekać?

Weszli do dziwnej, okrągłej sali. Cała podłoga była tu wyłożona płaskimi kamieniami, pomijając tylko środek, gdzie spoczywała wielka płyta z gładzonego drewna, która poruszała się pod nimi, jakby nie była do niczego przytwierdzona. Wszędzie poza środkiem kopulasty sufit był tu tak nisko, że ledwie mogli klęknąć. Okazało się, że dodatkową przestrzeń w centrum zawdzięczają kwadratowemu szybowi, prowadzącemu wysoko w górę. Z boku stała lampa, ale olej w niej już się dopalał. W pomieszczeniu cuchnęło potem.

– I co teraz? – zapytał Imid.

– Odłóż to cholerne niemowlę – odparła Elas Sil dziwnie zdyszonym głosem.

Imid poprawił kocyk i delikatnie położył dziecko na kamiennej posadzce. Zagaworzyło, a potem przetoczyło się na bok i ułało mu się z buzi. Ale tylko raz. Potem przewróciło się z powrotem na plecy, zamknęło oczka i zasnęło. Imid odsunął się od niemowlęcia.

Światło pociemniało, a potem zgasło.

Gorąca skóra... ramiona, uda...

– Elas! – wydyszał Imid, kiedy go odwróciła. – Nie przy dziecku!

Ale ona go nie słuchała.

* * *

Ineb Kaszel pomyślał, że nekromanta ma w sobie to coś, co sprawiało,

że wszyscy schodzili mu z drogi, mimo że nie odzywał się ani słowem i wydawało się, że nic w tym celu nie robi. Głosy nagle cichły, jakby Bauchelain był kamykiem milczenia wrzuconym do głośnego stawu. To znaczy – stawu pełnego głośnych ryb. Może i rzeczywiście tak było. Tak czy inaczej, Ineb był zdumiony ciszą, która zapadła, gdy Bauchelain, niosący pod pachą czyjąś głowę, dotarł wreszcie do schodów świątyni, wszedł na podwyższenie i usiadł z lewej strony ołtarza, spoglądając na pogrążony w zachwycie tłum.

Nekromanta uniósł na chwilę głowę (własną, tę, którą miał na ramionach) i Ineb Kaszel poczuł subtelny powiew czarodziejskiej mocy – mocy tak przeraźliwie potężnej, że pod demonem ugięły się kolana. Choć jeszcze przed chwilą on i Nauseo Niechluj byli bardzo pewni siebie, nie ulegało wątpliwości, że Ineb, Otyłość i Lenistwo są wobec tego człowieka jak małe dzieci.

– Mógłby nas załatwić – zaskomlił Demon Występku. Butelka wina wysunęła się mu z ręki i rozbiła na bruku. – Mógłby nas spętać i nie spociłby się z wysiłku nawet odrobinę. Och. O nie.

Bauchelain uniósł prawą dłoń i skupiony na placu tłum ponownie umilkł. Spod lewej pachy czarodzieja wystawała głowa króla Necrotusa. Jego wyschnięta twarz wykrzywiała się w rozmaitych dziwacznych grymasach.

– Mieszkańcy Dziwa, wysłuchajcie mnie! – przemówił nekromanta. – Do dzisiejszej nocy byliście ofiarami potwornego oszustwa. Teraz odsłonię przed wami prawdę.

Powoli zacisnął uniesioną dłoń w pięść. Rozległ się stłumiony krzyk... gdzieś, nigdzie. Pod uniesioną dłonią Bauchelaina zmaterializowała się jakaś niewyraźna postać.

Ineb Kaszel poderwał się gwałtownie.

– To jest Pożądliwość! – zawołał. – Demonica Pożądliwości! To Starra Znowu!

Naga zmysłowa kobieta unieruchomiona przez czary Bauchelaina wrzasnęła z przerażenia.

– To oszustka! – ryknął nekromanta. – Ukrywała się pod postacią Pani Błogosławieństw! Wydaje się wam, że Pożądliwość rozkwita tylko dzięki seksowi i niskim upodobaniom? Jeśli tak sądzicie, przyjaciele, jesteście w błędzie! Pożądliwość rodzi się z obsesji! A obsesja rodzi gorliwość! Gorliwość wiedzie do śmiercionośnej nietolerancji! Nietolerancja prowadzi do ucisku, a ucisk do tyranii. A tyrania, obywatele Dziwa, prowadzi do...

– Upadku cywilizacji! – ryknęło tysiąc gardeł.

– Przepraszam! – zawołała Pożądliwość. – Przepraszam! Nie chciałam tego zrobić!

– W rzeczy samej – poparł słowa tłumy Bauchelain, ignorując Starą Znowu, która rozplakała się nieprzekonująco. – Tak oto – ciągnął nekromanta – do Dziwa wraca mądrość. Waszą wiarę wypaczono, przeobrażono w nienawistny fanatyzm. Ale wystarczy już o tym. Niestety, muszę was z żalem zawiadomić o śmierci króla Macrotusa. – Potrząsnął własną głową. – Nie, nie zginął z mojej ręki. Zabiły go ćwiczenia. Nie żył już od dłuższego czasu. Niestety, nie mogłem tu przyjść, żeby was o tym zawiadomić, ponieważ w komnacie, w której znajduje się jego ciało, umieszczono osłony. Dlatego nie można go wskrzesić. Nie zaszkodzi jednak, jeśli wszyscy złożycie wizytę w jego królewskiej komnacie. Możecie ją uznać za odpowiedni grobowiec, wieczne przypomnienie o śmiercionośnej groźbie, jaką stają się pożądliwe czynności, jeśli oddawać się im bez żadnych hamulców.

Przerwał, rozejrzał się wokół, przyglądając się zwróconym ku niemu twarzom, a potem skinął głową.

– Obywatele, przedstawię wam teraz waszych nowych władców. To doprawdy godne szacunku osoby, żywe symbole właściwego postępowania, ludzie, których naśladowanie we wszystkich aspektach

zachowania i dobrych manier wywoła wasz zachwyty.

Nekromanta ponownie skinął dłonią i Starra Znowu odzyskała nagle wolność. Demonica zerwała się na nogi z głośnym wyciem i uciekła.

Od strony ołtarza dobiegł złowrogi zgrzyt.

Bauchelain zwrócił się w tę stronę i pokiwał palcem. Ołtarz wzniósł się w powietrze.

Akurat na czas, by odsłonić nowego króla i królową Dziwa, którzy wynurzyli się spod ziemi na podwyższeniu.

Byli spleceni w miłosnym uścisku. Ich misjonarski zapach był tak wielki, że chwilowo nie zwracali uwagi na to, co się wokół nich dzieje.

Nagły powiew, jakie zdarzają się w nocy, zwrócił ich uwagę na fakt, że znaleźli się w nowym otoczeniu. Oboje unieśli głowy i popatrzyli bez zrozumienia na ogromny tłum.

Który odwzajemnił ich spojrzenia, pogrążony w niemym szoku.

A potem rozszalał się na dobre.

* * *

Gdy Bauchelain wrócił do wozu i obozowiska rozbitego na wzgórzu nieopodal spowitego w obłokach dymu miasta, słońce wisiało już nad horyzontem.

Emancipor obserwował pracodawcę z dołu i nieco z ukosa, leżał bowiem na plecach, opierając bosc stopy wysoko na kole.

Niosący pod pachą głowę nekromanta podszedł do lokaja.

– Drogi panie Reese, czy mogę cię zapytać, co robisz?

– Chodzi o toksyny, panie. Chcę uwolnić od nich stopy. Nie będzie

trzeba puszczać krwi, na pewno nie.

– Widzę po twoim mętym spojrzeniu, że taka medyczna interwencja i tak nic by nie dała – stwierdził Bauchelain.

– To prawda – przyznał Emancipor.

Nekromanta podszedł do wejścia do wozu i grzebał przez pewien czas w bagażach. Po chwili wrócił, niosąc szklaną gablotę, której lokaj nigdy dotąd nie widział.

– Panie Reese, zakładając, że oczyściłeś już stopy w takim stopniu, w jakim to w ogóle możliwe, czy mogę zasugerować, żebyśmy zjedli śniadanie?

Emancipor opuścił nogi i wstał z wysiłkiem.

– Bogowie na dole – zaklął – zupełnie mi odrętwiały. – Mimo to zdołał dokuśtykać do tłącgo się jeszcze ogniska. – Mam grzane wino, panie. Nalać ci kubek?

– Hmm? Tak, to znakomity pomysł. I sobie też.

– Dziękuję, panie. – Emancipor zatrzymał się, żeby zapalić fajkę. – Ach, tak znacznie lepiej – mruknął, wypuszczając ustami dym. Przerwał mu nagły atak kaszlu, który zmusił go do wyplucia grudki wydzieliny do ogniska, gdzie buchnęła płomieniami o niezwykłych odcieniach, zanim spłonęła w bardziej typowy sposób. Emancipor wsunął fajkę z powrotem do ust i zaczął pykać radośnie. Potem nalał wina.

Głośny łopot skrzydeł oznajmił przybycie Korbala Broacha. Wrona podeszła do Bauchelaina, który tymczasem włożył głowę króla Necrotusa do szklanej gabloty i postawił pojemnik na koźle. Wydawało się, że król coś mówi, ale na zewnątrz nie wydostawał się żaden dźwięk, co bardzo cieszyło Emancipora.

Lokaj wstał i podał kubek Bauchelainowi.

– Wzniesiemy toast, panie?

– Toast? Czemu by nie? Mów, panie Reese.

Emancipor wzniosł kubek.

– Za zdrowe zwłoki!

Bauchelain prawie się uśmiechnął. Prawie, ale nie do końca, tak jak spodziewał się Emancipor.

– W rzeczy samej – zgodził się nekromanta. – Za zdrowe zwłoki.

Król Necrotus uśmiechał się szeroko w swej szklanej gablocie, jak zwykli to czynić umarli.